

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 16 lipca 1950 r.

Nr 28 (242)

Paweł JASIEŃKA

OTO CZŁOWIEK

W IADOMO, że wielu artystów osiągnąwszy pewien stopień powodzenia i sławy zapada na specjalny rodzaj manii wielkości. Niektórzy zdradzają wyraźne objawy wymienionego wyżej schorzenia nawet bez istotnych powodów. To znaczy wtedy, kiedy sukcesy i „wielkość” istnieją tylko w ich własnej wyobraźni.

Znamiona choroby przybierają formy najrozmaitsze. Jeden będzie unikał jazdy tramwajem, czy zatłoczonym pociągami, by się czasem o tłum pospolity nie ocierać. Inny skurczy się ze wstępu, gdy mu baba koszyk z nabiałem nad głową na półce wagonowej ustawi. Inny znów — ten, któremu sława artysty najwięcej przysporzyła dobrobytu — otoczy się dworem i ceremoniałem prawie monarszym: zaproszeni goście, ci wybrani z wybranych, będą nań w pokorze w domu jego oczekiwać — a on się między nimi pojawi wyniosły i niedostępny, lekkim skimieniem głowy odpowiadając na ceremonialne dygi i ukłony.

Rozmaite bywają formy schorzenia, któremu za dewizę zawsze posłużyć mogą słowa Horacego (nawiasem mówiąc, syna wyzwolenca): *odi profanum vulgus...*

Zamierzam opowiedzieć dziś o wielkim artyście, który nie stronił od najbardziej cuchnącej, pogardzanej i odrażającej nędzy ludzkiej.

„SIBIR, SIBIR — SIBIRI
NIE BOJUSIA“

— Czemu tu u was tak zimno w tym Sybirze?

— Tak spodobało się Bogu — odpowiada woźnica.

Tak, oto już maj, w Rosji lasy zielenią i kłaskają słowiki, na południu od dawna kwitną akacje i bez, a tutaj, po drodze z Tiumentiu do Tomsku ziemia bura, lasy gołe, na jeziorach matowy lód, po brzegach i jarach śnieg jeszcze leży.

Brzęcząc kajdanami wlecze się droga trzydziestu czy czterdziestu aresztantów. Z obu boków żołnierze z karabinami, z tyłu dwie podwozy. Jeden z więźniów podobny jest do ormiańskiego duchownego, drugiego — wysokiego, z orlim nosem i szerokim czołem — tak jakgdybym już gdzieś widział w jakiejś aptece za kontuarem, trzeci ma twarz bladą, wyniszczoną i surową, niczym mnich-asceta... Więźniowie i żołnierze opadli z sił: droga fatalna, iść już nieposób... Do wioski, gdzie im wypadnie nocleg, jeszcze całych dziesięć wiorst. A kiedy już przyjdą do wsi, naprędcie coś przegrzyzą, napiją się herbaty cegielkowej i natychmiast zwał się spać, natychmiast obleżą ich pluskwy — zły, niezwytyczony wróg każdego, kto osłabł i ponad wszystko na świecie pragnie snu.

Rano (14 maja!) pada śnieg i pokrywa ziemię na grubość półtora wierszka,^{*)} w południe zmywa go deszcz, a wieczorem, o zachodzie słońca, gdy stojąc nad brzegiem parzę jak podpywająca łódź walczy z prądem — pada i deszcz i grad... I oto raptem rzecz absolutnie nie pasująca ani do śniegu ani do chłodu: wyraźnie słyszę grzmot. Woźnice kreślą znaki krzyża i powiadają, że to wróży pogodę.

Łódź jest obszerna. Najpierw ładują w nią ze dwadzieścia pudów poczty, potem moje bagaże, i przykrywają wszystko mokrymi rogożami... Pocztylion, człowiek niemłody i wysoki, siada na tobole, ja na swojej walizce. U moich nóg umieszcza się maleńki, piegowaty żołnierz. Płaszcz jego jest mokry, choć wykręcając, z czapki ciecze za kołnierz.

— Z Bogiem! Na wodę!

Płyniemy z prądem koło krzaków wierzbiny. Wioślarze opowiadają, że dopiero co, może dziesięć minut temu, utonęły dwa konie, chłopak zaś, siedzący na wozie, ledwie się uratował, uchwyciwszy się krzaka.

— Ciągnąć, chłopcy, ciągnąć — później opowiecie! — odzywa się sternik. — Dooda — aj!

Po rzece^{**)}, jak to bywa przed burzą, przelatuje poryw wiatru... Goła wierzbina pochyla się i szumi, nurt nagle ciemnieje, we wszystkie strony suną wały wodne...

— Chłopcy, zakręcamy w krzaki, trzeba przeczekać! — mówi cicho sternik.

Już łódź zaczęła zawracać, gdy raptem któryś z wioślarzy zauważa, że na wypadek niepogody przesiedzimy w krzakach całą noc i też na pewno utoniemy, więc czyby nie lepiej po prostu płynąć dalej... Proponują postanawiać większością głosów i postanawiają płynąć dalej...

Rzeka ciemnieje jeszcze bardziej, silny wiatr i deszcz biją z boku, brzeg jeszcze daleko, a krzaki, których w razie nieszczęścia można by się uciepić, zostały za nami... Pocztylion, który podczas długiego swego żywota niejedno już widział, milczy i ani się porusza, jak gdyby zastygł. Milczą także i wioślarze... Widzę jak żołnierzowi raptem poczerwieniała szyja. Ciężar przywała mi serce i myślę tylko o tym, że jeżeli łódź się wywróci, to najpierw zrzuće połkożuszek, potem marynarkę, potem...

Lecz oto brzeg coraz to bliżej i bliżej, wioślarze pracują wesoło; pomaleńku ciężar spęta z serca i kiedy do brzegu nie pozostaje więcej ponad trzy sążnie jest już całkiem lekko, radośnie i zaczynam sobie myśleć:

Jak to jednak dobrze być tchórczem! Tak niewiele potrzeba, by

*) Wierszok — dawna rosyjska miara długości = 4,4 cm.

**) Mowa tu o rzece Tom.

człowiekowi stało się bardzo wesoło!“

Przytoczonych urywków nie pisał żaden „srogim wyrokiem przepędzony“, skazany na przymusowy pobyt na Sybirze przestępca. To były fragmenty książki Antoniego Pawłowicza Czechowa — tak, tego samego wielkiego Czechowa — który lat temu równo sześćdziesiąt odbył wielką podróż w poprzek kontynentu azjatyckiego. Nie istniała jeszcze podówczas sławna kolej transsyberyjska. Czechow wyruszył z Moskwy 21 kwietnia 1890 roku. Dojechał pociągiem do Jarosławia, potem statkiem — po Woldze i Kamie — osiągnął Perm. Stamtąd znowu koleją do Tiumentiu. Stąd „rzemiennym dyszlem“, na konnych podwodach, poprzez Tomsk, Krasnojarsk i Irkuck dotarł do wybrzeży Bajkału. Parostatkami przez to olbrzymie jezioro i dalej znowu końmi do Sreteńska. Tutaj znowu parostatek. Rzeką Amur, cieśniną Tatarską i oto już północne wybrzeża wyspy Sachalin, która właśnie była celem całej peregrynacji Czechowa. Z obliczenia wynika, że trasa przebyta furmankami wyniosła przeszło cztery tysiące wiorst! Wiorsta, jak wiadomo, jest to dawna miara rosyjska — trochę więcej niż 1 1/16 kilometra.

Na Sachalinie wylądował Czechow w dniu 10 lipca, a opuścił wyspę w trzy miesiące później, 13 października. Droga powrotna wiodła tym razem przez Morze Japońskie, Ocean Indyjski, Kanał Suezki, morza Śródziemne i Czarne.

Pisarz stanął w Moskwie w dniu 9 grudnia. Mowa tu ciągle o tym samym 1890 roku: osiem miesięcy podróży. I to jakiej podróży! Konne furmanki, łodzie, promy — olbrzymie i groźne rzeki syberyjskie, tajga, ówczesne tamtejsze „drogi“ („Wóz zawsze znajduje się w takiej pozycji, która, dopóki człowiek nie przywyknie, co chwila zmusza do krzyku: furman, walimy się!“) — szlaki, łąki i pola zalane przez powodzie — noclegi w zapluskwionych chatkach, komary, „messzka“ — chłody, upały i pożary lasów — i jeszcze widok tego wszystkiego, co oznaczały słowa „Sybir“ i „Sachalin“.

Czechow powrócił do Moskwy zmęczony i chory, ale „pałający żądzą pracy“. Chciał pisać, publikować, opowiedzieć wszystkim o tym, co dane mu było oglądać, a co sam na gorąco określał słowami: „oetyj ad“ (całe piekło).

Reportaże z samej podróży — pod ogólnym tytułem „Iz Sibiri“ — wydrukowało czasopismo „Nowoje Wriemija“ jeszcze w roku 1890. Główne dzieło, „Ostrow Sachalin“, zaczęło się ukazywać rozdziałami w piśmie „Russkaja Myśl“ dopiero w roku 1893/4. Oddzielne wydanie wyszło w r. 1895 i jeszcze raz za życia pisarza w r. 1901. Egzemplarz,



ANTONI CZECHOW

z którego przy pisaniu niniejszego atrykułu korzystam, jest to X tom zbiorowej edycji pism A. P. Czechowa, pięknie wydany w Moskwie w roku 1948.***)

START

Właściwie do dzisiejszego dnia nie bardzo wiadomo, w jaki sposób dojrzała nieoczekiwana decyzja podróży Czechowa na Sachalin. Trzydziestoletni podówczas pisarz (ur. w roku 1860) zdążył już pozyskać powodzenie i sławę. Otrzymał nawet nagrodę literacką. Zdobył pozycję pierwszą swoją większą powieścią p. t. „Step“. Pracował dużo, był ciągle w dobrym nastroju, dowcipny i wesoły. I raptem...

Pod koniec roku 1888 pisze Czechow do Suworina: „Bywają chwile zupełnego upadku ducha. Dla kogo i na co ja piszę?“ Albo innym razem: „Za weześnie mi się skarżyć, ale nigdy nie za weześnie zapytać: czym ja się zajmuję — poważną rzeczą czy też głupstwami (dielom ja zanimajuś ili pustiakami)“. I jeszcze później, w roku poprzedzającym wyprawę: „Jakiś zastój w duszy... Nie jestem rozczarowany, ani zmęczony, nie wpadam w chandę, tylko po prostu wszystko wokół stało się raptem mało ciekawe... Trzeba na nowo naladować się prochem.“

***) A. P. Czechow, Soczinienija, tom X. „Ostrow Sachalin“ — „Iz Sibiri“. OGIZ. Gosudarstwiennoe izdatielstwo chudożestwiennoj literatury. Moskwa 1948, (str. 552, 4 ilustracje, 1 mapa).

Książka wydana nadzwyczaj starannie. Objaśnienia i komentarze do tekstu zapełniają 172 (sto siedemdziesiąt dwie) strony drobno druku!

W tym wszystkim jest coś ze sławego, rdzenie rosyjskiego pryncypializmu, który wyznawcom swoim każe powtarzać słowa Pisma: *czto jest istina?* Wyraz „istina“ znajdując w języku polskim niezbyt dokładny równoważnik w słowie „prawda“. „Prawda“ — to jest jak drogowskaz, jak podniesiona ręka, wskazująca kierunek. „Istina“ — tu chodzi o istotę rzeczy, o samo jądro prawdy, o jej rdzeń, zasadę.

W 1889 roku umiera brat pisarza, Mikołaj Czechow. I w tymże roku drugi brat, Michał, szykuje się do ostatecznych egzaminów prawnych. Musi studiować proces karny, więziennictwo, wertować grubo tomy. Antoni Czechow zainteresował się tymi tomami, poczytał sobie i — od razu zaczął szykować się do podróży na Sachalin. Decyzja ta była dla otoczenia czymś najzupełniej nieoczekiwanym, ale — jak pisze Mikołaj Czechow — „była mocna i twarda, a opierała się na głębokim przekonaniu, że on (Antoni) za wszelką cenę musi tam pojechać“.

Tak więc wielki artysta postanowił własnymi oczyma obejrzyć najbardziej niesławne i wstydlive, skrzętnie przed ludźmi ukrywane zakamarki ustroju, który właśnie wtedy — za dni Aleksandra III („nie car ale cariszczel!“) przeżywał apogeum swojej mocy i chwały. W 1893 r. rozhisteryzowane Paryżanki rzuciły się na szyję marynarzom z wizytującej Francji eskadry admirała Awielana. Tak się więc złożyło, że ukazująca się właśnie w „Russkaja Myśl“ praca Czechowa informowała czytającego ogół o tym, co może czekać tychże marynarzy, jeżeli kiedykolwiek zdarzy się im nie szczęście dyscyplinarnego narażenia się samemu admirałowi, lub które-

muś z przelicznych „Wysokobłogorodij“.

Zauważyć jeszcze można, że nikt z tych kto czytał wcześniejsze prace Czechowa — opowiadania takie, jak „Chameleon“, „Maska“, „Unticr Priszibiejew“, a zwłaszcza wstrząsający „Złomyszennik“ — nikt z tych ludzi nie zdziwi się wyprawą pisarza na Sachalin. Ona doskonale pasuje do całej postawy życiowej człowieka, któremu wszyscy „skrzywdzeni i poniżeni“ byli naprawdę bliscy.

Jeszcze jedno zauważyć tu wypadnie. Oto do zainteresowania się losem nieszczęśliwych „katorżników“ przedysponować mogły Czechowa pewne okoliczności, w jakich upływało jego własne dzieciństwo. Syn drobnego sklepikarza z Taganrogu, wychowywany przez ojca w zasadach patriarchalizmu i „bojaźni bożej“. To znaczy zmuszany do regularnego chodzenia do cerkwi tudzież śpiewania w cerkiewnym chórze, a w domu traktowany na sposób tradycyjny, poddawany dotkliwym i upadającym karom cielesnym. Czechow, który sam mawiał, że w dzieciństwie żył jak „mały katorżnik“ był jak gdyby powołany do tego, by demaskować ten cały patriarchalno-nahajkowy ustrój.

Wyruszył więc na Sachalin uzbrojony w obszerną wiedzę, zaczerpniętą z obszernej lektury przygotowanej — tudzież w zwyczajną legitymację korespondenta prasowego. Żadna bowiem z wielkich figur nie chciała go nikomu polecić ani wydać pozwolenia na zwiedzanie katorży.

Pojechał więc z legitymacją wyżej wspomnianą oraz, oczywiście, z paszportem.

W Rosji carskiej bowiem człowiek składał się z: ciała śmiertelnego, duszy nieśmiertelnej i paszportu.

„CEŁYJ AD“

W Państwowej Bibliotece ZSRR im. W. I. Lenina do dzisiejszego dnia przechowywane są kartki, zawierające ankietę, przeprowadzoną przez Czechowa wśród mieszkańców wyspy Sachalin. Niemal każda z nich wypełniona została własnoręcznie przez pisarza. Książka jego — „Ostrow Sachalin“ — rodzajem najbardziej zbliżona do reportażu, nie jest zbiorem impresyj, ani tomem zawierającym wrażenia, ogólne uwagi i spostrzeżenia. To jest praca, dająca wszechstronną wiedzę o wyspie, jej ludności, historii — o wszystkich w ogóle miejscowych problemach (warto pamiętać, że Czechow z wykształcenia był medykiem).

„Objechałem wszystkie osiedla — pisał sam Czechow — zachodziłem do wszystkich chat... Inaczej mówiąc, na Sachalinie całym nie ma ani jednego katorżnika, czy osiedleńca, któryby ze mną nie rozmawiał... Wstawałem codzień o godzinie piątej rano, kładłem się spać późno i cały dzień znajdowałem się w silnym podnieceniu wskutek myśli, że tyle jeszcze jest do zrobienia“.

To się dopiero nazywa — naprawdę pisać reportaż!

Trzeba się dobrze pilnować, opracowując artykuł będący relacją z tej wstrząsającej lektury. Czechow bez obsłonek pokazał sachalińskie, koszmarnie, niby — społeczeństwo. Bo słowo „katorga“ nie oznacza samego tylko więzienia. Odnosi się ono do rzeczywistości wielostronnej, skomplikowanej, a zawsze strasznej. W recenzji łatwo więc o sensację, o wyławianie najbardziej „pikantnych“ szczegółów. Można np. przetłumaczyć opisy egzekucji, czy zająć się losem kobiet, które *de facto* z reguły przywożone były tutaj nie po to by odbyć karę więzienia, lecz z przeznaczeniem na pół- czy też na stuprocentowe prostytutki. Można zapoznać czytelnika z sylwetkami szczególnie dzikich zbrodniarzy. Tęgo wszystkiego robić nie wolno.

Książka o Sachalinie pisana bowiem była bynajmniej nie dla sensacji.

Dla zobrazowania kolorytu lokalnego wystarczy po prostu przetłumaczyć parę urywków, odnoszących się do losów dzieci.

„Jak „otczestwo“ twojego ojca? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiada (dziesięcioletni chłopak — przyp. mój, P. J.).

— Jakże to tak? żyjesz razem z ojcem i nie wiesz jak się nazywa? Wstyd!

— Kiedy to nie prawdziwy ojciec.

— Co to znaczy: nie prawdziwy?

— On żyje z matką.

— Matka mężatka czy wdowa?

— Wdowa. Ona tu za męża przysłała.

— Co to znaczy: przysłała za męża?

— Zabiła go.

— A ty ojca pamiętasz?

— Nie. Ja nieślubny. Mnie matka w Karze urodziła.“

A oto obrazek nr 2:

Jeden z sachalińskich wielkorządźców, by ustalić wszystkie szczegóły pewnej zbrodni, popełnionej już na katordze, poddał torturę żonę mordercy (kobietę wolną, a więc według prawa, nie podlegającą karom cielesnym) i jego jedenastoletnią córkę. „Dziewczynkę trzymano wyciągniętą w powietrzu i kat bił ją różgą od głowy do pięt; dziecko otrzymało nawet kilka uderzeń pletnią, a kiedy poprosiło pić, dano mu solonej ryby. Biliby dłużej pletnią, jeżeliby sam kat nie odmówił w końcu posłuszeństwa.“

We wspomnianej bibliotece oprócz ankiet przechowywane są także inne jeszcze dokumenty, dotyczące tej podróży. Są to listy, pisane z Sachalinu do Czechowa.

„Córka moja, była baronówna G., obecnie na katordze, pisała mi jak Pan, będąc na Sachalinie, ujął się za nią i zawstydził generała za złe obchodzenie się z nią. Dziękuję Panu, szlachetny człowieku, modłę się za Pana, obrońco nieszczęśliwych.“

„Ciolszka, którą mi Pan podarował w 90 roku, rośnie, obecnie warta jest czterdzieści rubli srebrem, w której spoczywają wszystkie moje nadzieje. Patrząc na to bydlatko codziennie dzięki Waszej Miłości, i wiecznie będę modlił się do Boga i dziękować Wam, Wasza Wielmożność, za tak wielką dla mnie, człowieka nieszczęśliwego, łaskę.“

Cały tom omawianej tu książki, sam fakt jej napisania i wydrukowania świadczy niezłomie o jednym. O niebywałej odwadze cywilnej autora. Raz jeszcze wspomnijmy w jakich to się działo czasach. Za Aleksandra III! Kiedy razu pewnego monarsze temu przedłożono najpokorniejszą prośbę szlachty którejś tam gubernii o prawo do składania tronowi najpoddańszych wniosków i projektów — car swoim słynnym niebieskim ółwkiem napisał na marginesie: „Iz, czewo zachoteli!“ A tutaj jakiś literat lezie w oczy z książką, będącą straszliwym oskarżeniem systemu. I co jeszcze w dodatku w tej książce wypisuje!

Niedługo przed przyjazdem Czechowa na Sachalin wykopano na

wyspie tunel. Miejscowa administracja, zachwycona własnym dziełem, postanowiła uroczystie poświęcić „Najwyższe Pozwolenie“ nazwaną go „Tunelem Aleksandra III“.

Tymczasem zjawił się na Sachalinie Czechow i napisał tak: „Kopalni ten tunel nie zapytały się o zdanie inżyniera, bez planu i w rezultacie wyszło krzywo, ciemno i brudno. Wyczyn ten kosztował bardzo drogo, a okazał się niepotrzebny...“ itd. itd.

Dla ścisłości wspomnieć trzeba jednak jeszcze i o tym, że Czechow opisywał wyłącznie losy przestępców kryminalnych. Do politycznych zesłańców dostępu nie miał.

REZULTATY

„Jeżeliby p. Czechow niczego więcej nie napisał oprócz tej książki imię jego i tak zostałoby na zawsze uwiecznione w rosyjskiej literaturze“ — oświadczył jeden ze współczesnych krytyków.

Dzieło Czechowa wstrząsnęło opinią publiczną. Posypały się recenzje, sprawozdania, artykuły. Odezwały się zaraz towarzystwa naukowe i dobroczynne. Były echo w prasie niemieckiej i francuskiej. Sachalinowi przybyło — z ofiarnością publicznej — szkół, bibliotek, przytułków, szpitali. Pośpieszyli tam korespondenci prasy krajowej i zagranicznej.*)

*) Pewna młoda szlachcianka, Eugenia Majer, wybrała się na stałe na Sachalin, aby poświęcić się akcji odbroczynnej. Ten jej postępek uzyskał także europejski rozgłos.

Ciekawe, że Czechow — literat przecie — swoich sybirskich i sachalińskich spostrzeżeń literacko nigdy nie wyzyskał. Nie pozostały one bez wpływu na dalszą jego twórczość, ale nigdy nie zostały wykorzystane „wprost“.

Książka jego, traktująca o temacie jeszcze bardziej ponurym niż kryminalna zbrodnia, uczy cenę pewną prawdę, którą sam Czechow wyraził we wcześniejszym artykule o Przewalskim. Że ludzkości „bohaterowie potrzebni są, jak samo słowno“.

„Ich c obowosć — to żywy dokument, dowodzący społeczeństwu, że oprócz ludzi wiodących spory o optymizm i pesymizm, z nudy zających nieważne powieści, niepotrzebne projekty i tanie dysertacje, szalejących w imię pogardy życia i łągających dla kawałka chleba, że oprócz sceptyków, mistyków, psychopatów, jezuitów, filozofów, liberalistów i konserwatystów są jeszcze ludzie innego typu, ludzie szlachetnej walki, wiary i jasno wytkniętego celu“.

Wydaje się, że omówione tu dzieła Antoniego Czechowa: „Ostrow Sachalin“ i „Iz Sibiri“ — należałyby przełożyć na język polski. Mało jest bowiem na całym świecie książek równie uczciwych i szlachetnych.

Paweł Jesienicą

HUMANIZM A ŁASKA

(Sprawozdanie z Tygodnia Intelktualistów Katolickich — Paryż, 7—14 maj)

POCZĄWSZY od 1948 roku Katolickie Centrum Intelktualistów Francuskich organizuje rokrocznie spotkania wybitnych przedstawicieli myśli katolickiej, reprezentujących różnorodne dyscypliny naukowe.

W roku 1948 tematem rozważań było zagadnienie Miłosierdzia Bożego, w 1949 — Wiara w Jezusa Chrystusa a świat współczesny, obecnie dyskutowano problem Humanizmu a Łaska.

W dyskusji dałoby się wydzielić trzy etapy:

1. Precyzja samego problemu, polegająca na postawieniu dwóch zasadniczych pytań: I. Czy w humanizmie istnieją elementy sprzeczne z pojęciem Łaski? II. Czy chrześcijaństwo w jakichś swoich partiach wykracza poza humanizm?

2. Odpowiedzi i wyjaśnienia z punktu widzenia poszczególnych dyscyplin.

3. Wyciągnięcie ostatecznych wniosków i określenie konsekwencji praktycznych, jakie z nich wynikają.

NATURA — WOLNOŚĆ — ŁASKA

Problem stosunku między człowiekiem, a Bogiem stanowi główne źródło niepokoju, nurtujące w łonie chrześcijaństwa, zaczynając od dyskusji pelagianów aż do czasów dzisiejszych. W literaturze i filozofii w sposób paradoksalny występują obok siebie pogarda wartości ludzkich i tendencja do diwinizacji człowieka. Charakterystyczny jest dialog między dążeniem człowieka do wolności a granicami jakie realizowaniu tego dążenia narzucają prawa natury ludzkiej. Na tym terenie powstaje zasadnicze zagadnienie, czy natura ludzka jest

ostatecznie określona i czy prowadzi to do fatalizmu, czy też nie istnieją siły, które by ją określały?

Jeden z pierwszych referatów, noszący tytuł: „Czasy pogardy i czasy bożyszcz“ określił pojęcie humanizmu chrześcijańskiego.

„Wszelki humanizm — mówił referent — Pierre Jouguet — był afirmacją praw i wymagań natury. Pełna i harmonijna realizacja natury ludzkiej, respekt wobec praw nią rządzących, zadośćuczynienie jej wymaganiom leżą u źródeł każdego humanizmu“. Jednakże to, że humanizm opiera się na koncepcji natury, nie znaczy, aby się na niej wyczerpywał.

„Aby natura mogła się w pełni zrealizować w człowieku konieczna jest wolność. Wolność może wyjść naturze naprzeciw, może jej jednak zaprzeczyć, a nawet ją unicestwić, ale wtedy natrafia na nic“. Takim unicestwieniem natury przez wolność jest np. samobójstwo. Przeciwnieństwem takiego stosunku wolności i natury jest pełna harmonia pomiędzy naturą a wolnością, gdy wolność działa zgodnie z naturą a nie przeciw niej. Kiedy jednak wolność działa zgodnie z naturą? „Dla humanizmu chrześcijańskiego wtedy tylko, gdy poprzez wolność Łaska wypełnia naturę. Natura — wolność — Łaska — oto tryptyk pełnego humanizmu chrześcijańskiego.“

Wolność staje się więc narzędziem Łaski, przez wolność Łaska działa na naturę.

To najbardziej oczywiste rozwiązanie problemu nie jest jednak dostatecznie uświadomiane przez katolików współczesnych. W literaturze w ogóle, a także u pisarzy katolickich jako główny motyw występuje wyraźny konflikt: natura — wolność. Próby rozwiązań idą bądź po linii mitu o nadczłowieku, który tworzy naturę wolą mocy — są to tendencje skrajnie indywidualistycz-

ne, bądź też za element działający i kształtujący uważana jest ludzkość, pojmowana jako „jedność zbiorowa“ wyznaczająca „w ruchu wolnym i spontanicznym drogę historii“. Tych zasadniczych tendencji nie zmienia u pisarzy chrześcijańskich fakt pojmowania wolności jako instrumentu Łaski. Pisarz dotąd jeszcze nie był w stanie wyjść z impasu, jaki stwarza problem rzekomego unicestwienia natury ludzkiej przez działającą na nią Łaskę, stąd pesymistyczne stwierdzenie Jouguet, literaturze katolickiej „nie wszystko idzie ku najlepszemu w tym najlepszym z humanizmów chrześcijańskich“.

WIAT NATURALNY I ŚWIAT NADNATURALNY

Konflikt wolność — natura rzuca się wyraźnie w dziedzinie transcendencji. Tęsknotę człowieka za wolnością stwarza właśnie potrzeba tego, co człowieka przekracza, co jest poza nim. Stawia to jednakże człowieka wobec tajemnicy. Dla spirytualisty tajemnica ta jest ciągle obecna, materialista odłożył ją na początek historii świata. Jaka jest postawa nauki?

Interesujące były poglądy i stanowiska uczonych, którzy w referatach swych wypowiedzieli się na temat zagadnienia: *biologia a transcendencja*. Głos zabierali profesorem biologii, psychiatrii, neurologii. Dla biologii zagadnienie transcendencji dotyczy głównie tego, czy i w jakim stopniu pewien układ materii żyjącej na pewnym stopniu rozwoju, w danym wypadku podpadający pod pojęcie człowieka, przekracza czysto biologiczne kategorie.

Między dwoma krańcowymi stanowiskami, mianowicie *kartezjańskim*, który uważa człowieka za istotę całkowicie odrębną od innych

istot żywych i nie związaną z nimi, a *prymitywnie pojmowanym ewolucjonizmem*, według którego człowiek jest udoskonalonym zwierzęciem, istnieje możliwość zajęcia stanowiska pośredniego. Biologia wybiera właśnie ów „złoty środek“: *człowiek jest nierozłącznie związany ze światem istot żywych, równocześnie jednak zajmuje wśród nich stanowisko wyjątkowe*.

„Człowiek znajduje się pośrodku drogi między atomem a gwiazdą“ — przytacza prof. Polonowski znane powiedzenie słynnego fizyka i astronoma — Edingtona; a jednocześnie, jak ujął to jeden ze współczesnych scjentystów tylko człowiek mógł i potrafił zaangażować się w jedną drogę, która w labiryncie wszechświata prowadzi do postępu.

Stanowiska przedstawiane w następujących referatach dowodzą zdecydowanego odcinania się od wszelkich mechanistycznych i biologicznych sposobów ujmowania psychiki ludzkiej.

Mechanizm i funkcjonowanie mózgu nie wyjaśnia całkowicie psychiki człowieka. Lokalizacja czynności umysłu w tym, czy innym zwoju mózgowym nie wytrzymuje prób doświadczalnych. Z drugiej strony konstruowane ostatnio „maszyny do myślenia“ tym łatwiej pozwalają dostrzec różnicę między nimi a umysłem człowieka, która polega przede wszystkim na fakcie, że wykonują one czynności z góry zdeterminowane i że najmniejsza przeszkoda mechaniczna zatrzymuje całkowicie ich działalność. Dla zdrowego rozsądku oczywiste jest, że człowiek potrafił wynaleźć „maszynę do myślenia“, natomiast najdoskonalsza nawet „maszyna do myślenia“ nie potrafiłaby wynaleźć umysłu ludzkiego.

(Ciąg dalszy na str. 9)

Wojciech ŻUKROWSKI

„SE DNO SPRAWY“

NAZWISKO Grahama Greene'a nie jest obce naszemu czytelnikowi, twórczość tego pisarza była kilkakrotnie omawiana w tygodnikach katolickich. Pierwszą jego książką tłumaczoną na język polski jest „Tajny agent“ drukowany w odcinku „Słowa Powszechnego“. Zamiast prób wartościowania wystarczy wspomnieć, że ta mieszanina mądrości i sensacyjności znalazła żarliwych odbiorców, wiele osób stało się prenumeratorami „Słowa Powszechnego“ tylko po to, by zdobyć komplet odcinków drukującej się podówczas powieści.

Jednak dla kogoś, kto przeczytał „Potęgę i chwałę“ Greena, meksykańską historię o polowaniu na ostatniego księdza pijaczynę, książkę napisaną tak obiektywnie, że sympatią naszą jednak obdzieliłmy prześladowanego, jak i prześladowców, dla kogoś, kogo porwała bujność opisów, egzotyka postaci, zmienność wątków fabularnych — „Sedno sprawy“*) może się wydać książką dziwnie ubogą i zgaszoną. Z przekornym wyrachowaniem odharwił autor scenę, przyciął egzotykę. Nie ma tu południowych kolorów, jest nuda, upał, powtarza się w uchu monotony zgrzyt pazurów sępa lądującego na karbach blaszanego dachu. Nic nie powinno przysłańać spraw dziejących się wewnątrz ludzi. Poza monotony, pełnym brzydoty życiem kolonialnych urzędników w małym arabskim porcie, który wojna jeszcze bardziej izolowała, kryją się pasjonujące rozgrywki, Greene naprowadza nas na trop niezwykłych wydarzeń. Tyle razy każdy z nas ocierał się o podobne sprawy, obserwował bohaterów historii miłosnych, ale życie unosiło nas dalej, kazało pospieszyć wyrokować, upraszczać sądy, wreszcie poniechać dociekania; tym razem mamy wykryształizowany dramat, możemy poznać sprawę do końca. Greene poszerza naszą wiedzę o człowieku, a zarazem i o Bogu, odsłania działania łaski, która jest sednem sprawy.

Lubię książki dobrze napisane, nie chodzi mi już nawet o rzemiosło, ale o integralną współczesność, tak rzadką u pisarzy katolickich, o język komunikatywny, o ową precyzyjną oszczędność. Nawet stany mistyczne są u Greena przełożone na język konkretny, zrozumiałe dla każdego. Akcja powieści, którą określam jako zewnętrzną — mimo pewnej sensacyjności, rekwizytów szpiegowsko - przemytniczych, wreszcie i trupa, nie jest tak ciekawa i przykuwająca uwagę czytelnika, jak to, co się dzieje we wnętrzu bohatera powieści — majora Scobie. Bez niepotrzebnych psychologizowania zostajemy wciągnięci w najbardziej osobiste rozważania, niepokoje i walki. Przyglądamy się istotom ludzkiej, kiedy jest szczerą, okrutnie szczerą w tym rzadkim stanie samotności, kiedy nawet Bóg milknie — przy rachunku sumienia.

Major Scobie jest policjantem, starym rutynistą, znośnie dobrze obowiązkami, wykonywany zawód nauczył go podejrzliwości i czujności nawet wobec samego siebie. Dlatego niszczy dowody winy, zaciera ślady. Zapomina jednak o niezniszczalnym rejestrze, jakim jest sumienie. Dlatego choć w intymnym pamiętniku notuje fakty sprawdzalne dla każdego — temperaturę, ciśnienie,



GRAHAM GREENE

nie, samopoczucie, stan pogody zamienia się w szyfr dla niego tylko czytelnicy.

Kim jest naprawdę Scobie? Przede wszystkim człowiekiem dobrym i mimo pozorów słabym. Nie chce nikogo skrzywdzić, pragnie oszczędzić bliźnim cierpienia. Motorem jego działania jest litość, ale litość ogromnie ziemsko pojęta; ona wpędza go w sytuacje bez wyjścia, spycha na dno. Litościwy policjant, to brzmi prawie humorystycznie, a jednak widzimy go przy urzędowaniu, towarzyszymy mu w walce z przepisami i sumieniem. Właśnie dlatego, że jest policjantem, nie znajduje dla siebie miłosierdzia, osądza się i skazuje odmawiając prawa łaski. Postępuje jednak konsekwentnie i to przeraża czytelnika.

Major Scobie jest złym katolikiem, z tej podstawowej skazy rodzą się wszystkie błędy, przekroczenia praw, wreszcie zdrada, bo tak to można określić. Scobie jest złym katolikiem, więc i złym urzędnikiem. Łamie wierność służbie litując się nad portugalskim kapitanem okrętu. Późniejszy współudział w przemyśle był już konsekwencją pierwszej zdrady.

Scobie zdradza żonę, by ocalić czystość uczuć młodej dziewczyny wdowcy wyłowionej z okrętu zatopionego przez Niemców. Oślaniając ją przed natarczywością pijanego amanta sam staje się napastnikiem i wplątuje w romans. Jest to dziwny romans nie dający żadnemu z partnerów zadowolenia, romans, który poczał się z litości nad skrzywdzoną przez wojnę kobietą.

Wreszcie zdrada Boga, znowu z litości dla żony. Świętokradcza komunika, byle tylko nie burzyć pozorów. Scobie nie chce, by przez niego cierpieli najbliżsi. Bierze na siebie ciężar potępienia, oślania się kłamstwem szeroko rozbudowanym, wygrany w szczegółach.

Pętla zaciągnęła się. Nie ma już nadziei, zostaje jedynie rozpacz. Scobie odepchnął Boga, był tak blisko ocalenia, ale sam je odrzucił, bo jest konsekwentny. Dla niego — żyć — to żyć w grzechu, który się

będzie odradzał z litości. Upadać ponownie — to ranić Boga. Litując się nad daremną ofiarą Chrystusa, nie chcąc i Jemu przydawać cierpienia — wybiera śmierć.

Major Scobie, człowiek dobry, nienagannie się prowadzący przez wiele lat służby, praktykujący katolik jednego dnia odkrywa w sobie przyczajone zło. Pozwala mu się opanować, zatopić i pochłonąć.

Ta możliwość, łatwość upadku budzi w nim podejrzenia. Może nigdy nie był dobrym i tylko przed otoczeniem, a może i przed sobą samym grał rolę człowieka sprawiedliwego? Jeśli ja sam tak sobie znany kryłem otchłan zła, cóż mam sądzić o innych ludziach? Z nieufności do siebie rodzi się niewiara nawet w najbliższych. I wierny sługa, Ali, wydaje mu się wrogiem. Gdy się jest wrogiem samego siebie, wszyscy zdają się na człowieka czyhać. Ali, dla którego major Scobie był wcieleniem mądrości i prawa, oczywiście kocha dawnego Scobie, tego, który umierał z każdą zdradą. Ali staje się żywym zwierciadłem, wyrzutem sumienia. Dlatego musi umrzeć, skoro umarł przedmiot jego miłości. Na śmierć sługi Scobie przystaje z podświadomą ulgą, nieomal współdziała w morderstwie. Ali nie będzie świadkiem upadku swego pana, nie powstrzyma go od wyboru ostatecznej drogi.

Na miejsce prawdziwej wierności Alego pojawia się zła przyjaźń, znowa współwiny, która łączy majora z handlarzem Yusefem. Uczucie okrutnej życzliwości, jakie syryjski kupiec żywi dla majora, ma w sobie coś szatańskiego. Jesteśmy ludźmi zbiorowymi, potrzebujemy towarzyszy. Powiernika szuka major Scobie nawet w złem, chce znaleźć się z człowiekiem, który już wie, przed którym nie trzeba udawać. Tęskni za szczerością, za prawdziwą, pełną zaufania przyjaźnią. Zwierza się Yusefowi, mimo, że dobrze wie — każde wyznanie będzie przeciw niemu obrócone; oto wydaje się w ręce handlarza, choiwe i drapieżne. Yusef mo-

że nawet kocha majora na swój sposób, chciałby jednak swój ideał poniżyć i zdeptać, związać udziałem w przestępstwie, chciałby upewnić się, że doskonałość, która go w Scobiem razita i pociągała zarazem, nie istnieje i nie warto o nią zabiegać.

Ale nie istnieje też obojętny stan próżnia; gdzie nie ma dobra, natychmiast wdzierają się zło. Łaska opuściła serce Scobiego, zło wzięło je we władanie.

Sprawa trójkąta małżeńskiego jest tematem literacko bardzo ograniczonym, po prostu traci nudą. Trzeba mieć odwagę Greena, żeby po ten „mieszkański“ konflikt sięgać. Chyba nikomu nie udało się zdrady małżeńskiej przedstawić tak dosadnie i tak obdrzeć z wszelkich uroków. Chyba żaden z pisarzy przed nim nie potraktował tak poważnie — grzechu śmiertelnego.

Jesteśmy zakażeni rozkładem mieszczaństwa, każda wzmianka o winie i karze niepokoi nas fanatyzmem sformułowań. Literatura mieszczańska osadza trucizny, oswaja z grzechem. Staliśmy się — mówię tu nawet o katolikach praktykujących — zadziwiająco pobłażliwi, grzeszymy łatwo i łatwo się rozgrzeszamy. Greene w wypreparowanym przez siebie środowisku stawia nam przed oczy skutki grzechu, uświadamia straszliwe spustoszenie, jakie grzech czyni nie tylko w duszy, ale w naszej osobowości, jak paraliżuje wolę, zmienia, zniekształca widzenie świata. Świat bez Boga jest światem nie mniej bujnym, ale obróconym przeciw nam. A jeśli w takiej chwili w stanie odgrodenia od Boga następuje śmierć — na wieczność zostajemy samotni.

Tak rzadko zastanawiamy się nad ostatecznymi skutkami grzechu, tak przywykliśmy, że źródło oczyszczenia jest w pobliżu i łatwo z niego skorzystać. Zapominamy, że często grzech ponawiany z dnia na dzień umacnia mur, który nas od Łaski odgrodzi.

Greene pokazuje nam całą znikomość ludzkich wyrachowań, krótkotrwałość kłamstwa. Jest ono złudzeniem potrzebnym kłamcy, a nie światu. Żadna z tajemnic majora Scobie nie zachowała się całkowicie. Szczerze, odważne wyznanie mogło go uratować. Niestety straciwszy zaufanie do siebie, mógł już uwierzyć w nikogo. Nawet najbliższa mu osoba — żona, nie próbuje przełamać znowy milczenia, lęka się urazić jego dumę. Więc milczą obok siebie coraz bardziej pograżając się w kłamstwo. Łączy ich nie tylko pamięć miłości, przeżycia i przyzwyczajenia, ale nawet umarłe dziecko — żyją jednak nie dla siebie. Nawet wspólna praktyka religijna, forma bez treści, zamiast łączyć — ugruntowuje ich samotność. Winna śmierci majora Scobie jest i jego egoistyczna żona. Ta wielbicielka fałszowanych wlotów, amatorka złej poezji nie zauważyła namiętności, które szarpały jej mężem, nie umiała go docenić, może go nawet wcale nie poznała.

Książka Greena jest wielkim ostrzeżeniem, zmusza do myślenia, uczy czujności. Człowiek dobry musi być przygotowany na to, że dobroć wymagać może cierpienia, zadawania bólu sobie i bliskim. Litość łatwa staje się słabością. Litość wieczna nie uchyla się przed cierpieniem. Czymże byłby lęk matki, która oślaniałaby dziecko przed nożem chirurga? Głupotą i tchórzostwem. Major Scobie nie ufał Bogu, nie wierzył, że wraz z świadomością podjętym cierpieniem pojawiają się w człowieku siły, które pozwalają nie tylko ból przełamać, ale go spożytkować na umocnienie osobowości.

„Sedno sprawy“ jest książką, od której katolikowi trudno się będzie oderwać. Znamy prawa gry, wiemy, co bohater ryzykuje, bierzemy wraz z nim udział w hazardowej licytacji.

Graham Greene niewątpliwie powiekszy liczbę najbliższych nam pisarzy.

Wojciech Żukrowski

*) Graham Greene — „Sedno sprawy“, tłum. Jacek Woźniakowski. Pax 1950 r.

SW. JAN OD KRZYŻA

Tras de un amoroso lance

W uniesieniu miłosnym
I nie roniąc ni źdźbła nadziei
Ulatywałem tak wysoko — tak wysoko
Żem wreszcie łup mój pochwycił

I poto aby wreszcie wzbić się
Na szczyt boskiego uniesienia
Trzeba mi było lecieć tak wysoko
Żem się zatracił — opuszczając siebie
I wbrew wszystkim — pośród zachwycenia
W locie szerokim opadały siły
Lecz miłość Jego była tak wysoko
Żem wreszcie łup mój pochwycił

I kiedym wyżej się dźwignął
Światłość wzrok mój olśniła
Najpotężniejsza walka moja
W ciemnościach się wypetniła
Ale miłość przyniosła siłę
Ślepego i ciemnego skoku
I byłem tak wysoko — tak wysoko
Żem wreszcie łup mój pochwycił

I ilem doszybował wyżej
W tym uniesieniu — jakże wzniosłym
O tylem w słabość — w cień żalony
Bez sił i życia opadł niżej
Rzekłem — nikt Ciebie nie pochwyti
I opadałem nisko — nisko
I byłem w górze — byłem w górze
Żem wreszcie łup mój pochwycił

I w sposób wielce dziwny
Tysiąc lotów dziato się w mym locie
Bo nadzieja niebiańska
To chwyta czemuś uła
A jam ufał tylko uniesieniu
I w ujności błędu byś nie dojrzał
Bo wysoko byłem — tak wysoko
Żem wreszcie łup mój pochwycił.

PAWEŁ CLAUDEL

Wiersze z wygnania

Cień mnie ogarnia, dzień ziemski dogasa
Przeszłość przemknęła a przyszłości nie ma.
Dziecię, którym raz byłem i młodzieńcze — tegu
Dłoń pusta ciąży na mnie, oto poru wracać.

Żyłem. Gwar ludzki jest jak przywidzenie
Skończone wszystko. Jestem sam i czuwać, czekam.
Ty jedna światłem towarzyszysz mi zdaleka
Lampo! Jak człowiek osądzony czekam wypełnienia.

Zbyt długie udrgczenie i samotność długa
Długie wygnanie — długa droga co wiodła aż tutaj.
Nadchodzi kres i dokonana próba
W bezsilność i znużenie dzień ubogi upadł.

Oto skończyłem mówić; więziony, samotny,
Jako trzoda sprzedana obcym, chciałym dłońmiom.
I tylko słucham — czekam, gotów gdy zadzwoni
Godziny ostateczne czasów niepowrotnych.

E. M. RILKE

Adwent

Często rozmyślam o podróżach nocnych
O tym, że lekkim lękiem obejmie mnie sen
Który pocałowaniem cichych warg i chłodny
Dotykać zda się gwiazd płonących w mgle.

I bardzo tęsknię, aby światło gwiazd
Oglądać znów. Dzień płynie zły i biedny
Daleka jeszcze noc. Jej granic srebrny blask
Prześwieca poprzez sen legendą.

Przekłady

Mikołaj Bieszczadowski

Nastrój jesienny

(Herbststimmung)

Powietrze mdłe jest jak w pokoju chorej
U drzwi którego cicho czeka śmierć.
Na mokrych dachach światła blada mora
Jak odbłask świec gromnicznych, które trzeba wnieść.

I szara woda deszczu w rynnach szmerze.
Bezbarwny wiatr złych liści goni sforę
I jak gromada piaków, gubiąc pierze
Korowód dumur przez niebo ciągnie chore.

OSBERT SITWELL

Trzy nokturny

I

Doliny tak nam znane w słonecznych godzinach
Rozległe są i mienią się jak morze;
Kotłyszce nimi drobny kwiat tarniny
Gdy weń uderzy pierwszy wiosny wonny powiew;
Dalekie są jak chłodne pustynie księżycy.

Dyszące ciszą lasy sennie
Wspinają się na miękkie, mysie wzgórza,
A pokrzyw łan w deszcz się zanurza
I cały pachnie las jakimś pradawnym lękiem

Szeleszczą
drzewa w deszczu — blisko
Samotny śpiewa głos, —
Zbyt głośno by od lęku nas ostonić;
przycicha potem bo na próżno
śpiwca w gasnącej bezdechowej nocy.

II

Sowa — rogaty czarnoksiężnik nocy
Przeptywa przez powietrze zwiewnym, cichym snem
I płacze przenikliwie gdy skrzydlatym lotem
Okręża ciemne wzgórza otulone w mgle.

III

Wysoko mleczne obłoki płyną poprzez niebo
plamiąc lasy smugami liliowego światła
I jak srebrne okręty żeglują ku brzegom,
przez noc rozmięgotaną lśnieniem gwiazdnych kwiatów

Warto oddać garść godzin rozłożonych stońcem
Za te niebiosy nad nami — gwiazdami zakwitające.

O. V. MIŁOSZ

Lofoten

Wszyscy zmarli pijani są deszczem mętym i długim
Na cudzoziemskim cmentarzu w Lofoten
Zegar odwilż szmerze, i gdzieś — hen
W sercach ubogich trumien stuka — w Lofoten.

A przez szczeliny, które czarne wyżarły wiosny
Kruki sycą się ścierwem — są jak czarny cień
Lecz dzięki cichym wiatrom jak głos dziecka wątłym
Spanie miłe jest zmarłym w smutnym Lofoten.

Prawdopodobnie nigdy w życiu mym nie ujrzę
Ani morza ni grobów w owym Lofoten
A jednak serce boli i czas tak się dłuży
Gdy wspomnę tamten żal i kąt daleki ten.

Wy samobójcy — Wy zapomniane — w śmiertelny tren
Owinęci na bezimiennym cmentarzu w Lofoten
To słowo dźwięczy dzwienie — lka jak deszcz
Powiedz, proszę, — czy śpisz, czy śpisz jeszcze.

Mógłbyś nam opowiadać rzeczy zabawiejsze
Wiersze mniej głupie i weselsze niżli ten;
Mały dzwonku, bijący tonem coraz srebrniejszym,
Przestań grać o tym twoim nudnym Lofoten.

Jak dobrze! Na kominku ognia barwny wian
I głos melancholijny płacze października.
Ach — I umarli! A także i ci z Lofoten
Mniej są martwi niżeli śmierć co mnie przenika.

EDITH SITWELL

Wciąż pada deszcz

Wciąż pada Deszcz
Czarny jak świat człowieczy, zły jak nasz ból —
Ślepy jak tysiąc dziewięćset czterdzieści gwoździ
Wbijanych w Krzyż.

Wciąż pada Deszcz
Stukając głucho jakby bicie serca zmienione
w ciosy młotów
Na Garnarczowej Roli — tupot bezbożnych nóg
Na płycie Czobu:

Wciąż pada Deszcz

Na Rolę Krwawą gdzie drobne nadzieje rosą i gdzie się
mózg człowieka
Karmi chciwością, co robactwem śliskim ścieka na skroń
Kaina.

Wciąż pada Deszcz
Aż do Stóp Gnącego Syna zwistego wpoprzek Krzyża.
Chryste — którego każda noc, dzień każdy rozpina na
ćwičkach
miłosierdzia dla nas

Dla sytego Bogacza i dla Łazarza.
Na deszczu ból i złoto lśnią jednak.

Wciąż pada Deszcz
Wciąż splywa Krew ze zranionego Boku Mrącego Syna:
On dźwiga w Sercu Swoim wszystkie światła rany
zadane światłem, które ginie.

Ostatni błysk
Na dnie serc samobójczych — rany zadane przez zły
niepojęty mrok
Rany katowanego niedźwiedzia
Ślepego i zawodzącego zwierzęcia chłostanego przez oprawcę
tży ściganego zająca.

Wciąż pada Deszcz

Więc — przypaść chcę do Pana mego — On do mnie
wyciąga Ramię,
Spójrz, o spójrz jak krew Chrystusa płynie przez firmament:
Jak kapie z Czoła przez nas przygwożdżonego do drzewa
Aż tu do spragnionego i trwożnego serca
W którym się żarzą ciemne ognie świata — uwieńczonego
bólom,

Laurem Cezara.

Lecz oto Tego głos, który podobnie do sere
ludzkich był kiedyś dzieckiem złożonym pośród zwierząt.
„Dopóki kocham cię, tak długo moja Krew Blask mojej
Łaski
płynie dla ciebie“.

(Wiersz, którego tytuł oryginalny brzmi „Still falls the
Rain“ powstał w r. 1940 gdy ogniasty deszcz bomb spadł
na świat. Wielka poetka we wstrząsający sposób oddaje
moment świtającej wiary, która jedyna ukazuje sens cier-
pienia. Wiersz ze zbioru „Night and Dawn“ (przyp. tłum.).

Antoni GOŁUBIEW

DRZAZGA

(Fragment z III cz. „Bolesława Chrobrego“ p.t. „Złe dni“)

TRZYKROĆ w ciągu roku z całej Chrobacji walili ludzie ku Krakowowi; było to w czas targów jesiennych i wiosennych, zwłaszcza zaś na letnie gody, gdy targowisko łączyło się z zabawą, piasmami, peleniem ogni nad rzeką i pijatyką. Wtedy to — raz w rok — długim sznurem wozów przyjeżdżali kupcy z dalekich stron, przywozili nieznanne towary — broń, tkaniny, wonności — odziani w obce szaty, szciekający cudaczną pogawką, z owiniętymi głowami, z ciemnym licem. Byli chciwi na jantar, futra a niewolnych, wielkie bogactwa za to dawali, niejeden woj albo wielmoża dobrze obłowili się na owych kupcach; ale nawet podgrodzowa biedota łażowała, gdy w czas wojny zabrakło cudaków — wesoło było podziwować się na odmieńców.

Tej jesieni po raz pierwszy nie tylko Chrobaci zbiegli się pod Wawel: ku Krakowowi ciągnęło mrowie ludzi z innych ziem księstwa — od Poznania, Międzyrzecza, Krosna i Lubusza. Dziw nad dziwy — przecie nigdy dotąd Polanie albo Słężanie nie zaglądali do Krakowa: nie ich to ziemia i targi. Teraz jakby pękła niewidzialna przegroda — posypało się toto niby siemię lnia- ne z pękniętego worka. Zbiedzony był naród, gęby wychudłe, obrośnięte; odzież wyblączona, zmokła i podarta — pewnie: tyli szmat nachlapać się po błotnistych drogach, a kosturkiem zamiast pary wołów, po proszonym kęsie. Zrazu spotykano ich przyjaźnie: zapierające dęch gadki bajali. O wojnie, o ciężko-koźbrojnych Niemcach z rzyżymi brodami, o bitkach i zasiękach, o gwałtach i morderstwach: w chatach, gdzie przybysze gościli, zbierali się sąsiedzi, słuchali z otwartymi gębami, miły strach mroził w piersi, radość — że nie doszła wojna do Chrobacji. A tamok: o Jaszo! — cały kraj ponoć spalony, siodła i grody, ostały jeno kamienie po pa- leniskach. Głód idzie, mór idzie — słuchające baby zakrywały twarze, kiwały się, wdychały. — „Nie doczekamy lata“ — gadali przybysze — „zarcia ni żdźbła, już są tacy, co wrzos mielą z korą, wodą zalewają i to ćkają; wżdy i bydlę zdechnie przy takiej karmie“. — „A lasu to nie ma u was? Nie żyje tamok zwierz dziki?“ — zgroza ogarniała słuchających na wieść, że i

lasu niemało popalili Niemcy, by drogę przez zasięki otworzyć, że zwierz uciekł od ognia, rubieży i gwałtu — teraz dopiero poznali Chrobaci jaka to była wojna. — „Lelum“ — jęczały baby, w każdej chacie dawaly po garści zboża, biedota zsypanywała ziarno w worki, życzyła sporu, odchodziła rozradowana. Ale rychło znużyła się ludziom ich gościnność.

Bo chudzielcy sypali się mrowiem: nie nakarmić takiej zgrai: w mig obzarliby i najbogatszego — jak stado szczerów rzucała się nawała na wszystko, co zgrzyć można: gorzej niż Niemcy. Przez wiele dni miesili błoto tysiącem bosych nóg, by napełnić worek i unieść uproszone ziarno k'sobie, na północ; tak ich i przewano: torbacze albo głodzielcy. A na czas jesiennego targowiska w Krakowie nabr... się tego taka chmara, że się opędzić było niesposób.

Włodarze się uganiali za przywódkami, komornik krakowski Tomisław kazał pędzić wen każdego, kto targowego nie zapłacił — ale kto tam da radę głodnej czeredzie: przegnasz ją z jednego końca, wraz się wszystko pcha w drugi. Jazgot i wrzask, kłótnie, wymysły, klątwy, szczekanie psów; krzyki kmiecia, któremu pół wieprza spod rąk ściągnięto — setka nóg pędzi po rozpryskującym się błocie, ryk roz-wścieczonej ciżby: „nastojcie“ — gdzie tam! już złodziej wpadł między chaty, wrzucił mięso pod kupę nawozu, skrył się w tłumie. Ciżba się rozpierzchnęła, włodarze wracają z głupimi minami, jak psy, co zgubiły trop zwierza; baby grzejące ręce nad garnkiem z węglami prześmiewają się z durniów, otroki zza węgla ciskają grudkami błota — odwróciło się serce tłumu, wiadomo: biedota raduje się z utraty bogactwa. Włodarze zebrali się w kupkę, szepczą z cicha, naradzają się; potem zwolna się pną ku grodowi — pewno do komornika. W jeden mig wieść o tym przeleciała przez targowisko, nastroszyli się ludzie: nie zgadnąć co tam znowu uradzą z komornikiem ku ognieceniu człeka — mnogie oczy odprowadzały włodarzy ze złością i obawą.

Mżył rzadki, przenikliwy deszcz, a jakby go nie było: ciżba roi się na placu pod cyrkwią, czarniawy, ruchliwy tłum okala trzem ze wszech

stron, długimi językami wlewa się między domy, zajmuje każdą pędź ziemi — dawno już takiego targu nie było, przez cały czas wojny. Znikła niepewność złych dni, nowa ochota do życia rozpięra ludzi — to wojom dobra wojna, nie kmieciom, skotnikom i rybakom; nie zgasi tej odrodzonej ochoty zimny deszcz i błoto pod nogami. Łągiewniki naciągali całe wozy cebrów, łągwi, stągwi i necek; powiązane w pęki łożinowe kosze wyrzuszają zielonkawę puza; kowale pobrzękują siekerami nanizanymi na sznur, pokazują noże wbite rzędem w sosnową żerdź, żelazne misy do prażenia zboża; kaprawy staruch bębni łyżką o dno cebrzyka, wianek z łyżek zawiesił sobie na szyi, pokrzykuje: „Nawarzy ci białka polewki i co? Będzieszli siorbać świńskim obyczajem, czyli łyżką jeść, by wielmoża?“; długogęby chłop mami kościanymi grzebieniami, inny ma cały garnek soli, wymienia ją na ziarno; piwowary piwem poją, bartniki sytą. Śmiech, okrzyki. Podchmieleni woje wzięli się pod ramiona, przepychają ciżbę, lecą wołania: „Uu, gady zatracone...“, ludzie ustępują im z drogi — nie będziesz na targu bójki z wojem wszczynał. Krowy uwiązane za rogi ryczą, przekręcają łby, patrzą dużymi, mądrymi oczyma — kmiecie odchylają im wargi, obmacują pyski, boki, wymiona, podnoszą ogony. Największa ciżba przy cebrach z pszonem, z rżą, z jęczmieniem — to ci przybysze z północy, im jednego potrzeba: zboża. — „Co mi dasz za ono pszono?“ — pokazują wojenny łup, tylko to mają: szlomy, tarcze, czasem topór bojowy, częściej łuk ze strzałami — byle kmieć może broń wytarzyć za korzec zboża. W ukryciu, między domami zdarzy się, że ci i zbroję pokażą, kowany z pasków miecz, albo nóż na rycerskim łańcuchu — wszystko w strachu: wiadomo, że za broń pancerną a za niewolnych włodarze drą podwójne targowe — całe bogactwo! Ludzie obzierają się na boki, palcem pukają w kolca, gną na kolanach miecze, długo targują się o cenę, nim sobie dłonie zabiją; potem idą do sytnika spiech zapić.

Na podgrodzium we wszystkich chatach pełno gości. Czas targu, to spotkanie swaków, to zjazdy rodowe, nawiedziny i układy: kiedyż indziej zbierze się tyle luda. Pokotem śpią na klepisku, czasem przejdź nie ma jak, tyle ciał leży; obsiadają ławy i stoły, wszędy pełno ludzi; u ognia suszy się odzież, zapach siodu i chmielu. W dawnej chacie Żurawiowej, u Sławki, ciasno jak wszędzie. Obie żelwy przybyły jeszcze na wiosnę, gdy doszła je wieść o śmierci braci; siedzieli w chacie kamieniem, od rana do nocy przędąc i tkając; teraz dla natłoku musiały krosna złożyć. Dwóch swaków z Żurawiowej wsi, zwanej Bienie, stryk Koprzywa, który przywiódł wołu, by go przed zimą zamienił na krowę — i gość z dalekich stron, aż z międzyrzecznego opola, na którego wołają Całek; ten chciał kożę wytarzyć za garść bisioru i dwa noże — bają:

— Na krowę nie starczy mi, a i czym będę oną karmił: kłaka siana ni słomy nie najdziesz w naszej stronie. A mam ci starka i białkę, i dzieciska: źle bez mleka. Kozie natnę łoży, brzoźowych witek, a białka suchych liści nagrabi, badyli ubiera: przetrzymamy do wiosny. Z ziarnem bieda, krztę zakopalim, to i mamy. Kiej las nie przeżywi,



złe będzie: prawda, buczyna dobrze obrodziła tego roku.

— Taka rubież była? — zagadnął Koprzywa; słyszał już wiele o wojnie, aleć zawsze miło posłuchać takiego, co mu się wojna do samej skóry dobrała.

— Rubież? — wykrzyknął Całek — co tam rubież! Nasze woje przelecieli przez stan, kiej spłoszone owce; tako dyrdali, aże ziemia łomotała. Konni i piesi, wszystko społem, zmieszane, nijakiego ładnie było. Kiej my to obaczyli, dalejże za nimi, nie czekać przekleństwów. Lelum, jak naród walił, kto pieszo, kto na wozie, bez pomysłu, w dyrdy, w dyrdy... źle było z takim, co nie zdążył: nawet w tyka Niemce nie brali, jeno zaraz po czerepie. A kiej ksiądz mir zrobił na uciechę ludziom, wróciliśmy, a k'czemu wróciliśmy? W całym opolu ni jednego zrębu nie ostało, z grodu sam jeno popiół, nawet cyrkiew spalili psie chosty. Jeno w lesie ostały chaty, co w nich siedzą światki Kryry Krysty po onych pięciu świętych mężach ubitych przez księżą stróżę.

Sławka pochylała się nagle, przykryła twarz dłońmi, plecy jej drgały. Starsza żelwka uniosła na Całkę wielkie, krowie oczy, spytała przezywającym się głosem:

— To w waszym opolu... ono miejsc... on stan... co onych pięciu i Żuraw... i Dudek... — nie mogła skończyć. Młodsza, na którą wołano Chochła, siedziała wyciągnięta, równiutko, wzrok wbiła w Całkę, na policzkach miała krągłe plamy czerwieni; trzęsała się jak w zimnicy.

— W moim... — Całek uderzył pięścią po kolanie — toć niedaleczko od miejsca, kędy Wielka Droga ku północy odchodzi. Gadają, że to król saski zakazał palić onych chat a cyrkwi, sam leżał całą noc z rozkrzyżowanymi rękoma przed skrzyniami z truchłem. A miał brać one skrzynie do swego kraju, wżdy ksiądz nie zwolił, kiedy mir z nim układał. Gadają tak, nie wiem. Gadają także, że nocka, o t j porze, kiedy to zbóje jeich pobili, schodzi się pięciu wapięzów, światło pała w cyrkwi a pieją dla Jezu Krysta: byli ludzie, co to dziwo widzieli. Jeden zajrzał przez szparę w drzewach, ale j j powaliło, przeleżał całą noc bez pamięci; dopiero rano wszystko rzekł. Gadają...

— Lelum! — zakrzyknęła Sławka, wstała ostro, rozejrzała się błę-

nymi oczyma, usta się jej trzęsły. — Kaj to Ważyk? Niechże słyszy, jego ociec tam był... — aż naraz przysiadła, zarzuciła ramiona za głowę, dlonie zaplotła na potylicy, zaniosła się głośnym zawodzeniem. Całek otworzył usta, zamrugnął, spytał:

— Co onej białka? Blekoto się najadła? — nikt nie odpowiedział. Ogień przygasił, zciemniało, Koprzywa stęknęła, schylił się, dorzucił chrustu, dmuchał w żar; wciąż urywany szloch Sławki. Po dachu równym, nieustający szelest dżdzu. Z sąsiedniej chaty wesołe śpiewki podpitej czeredy, Wieprz czochna się o ścianę, pochrzakuje.

To właśnie było najstraszniejsze — niemożność zrozumienia, cudaczność Żurawiowego czynu. Kiedys Sławka skarżyła się przed księdzem — co jej ksiądz odrzekł wówczas: nie może zawrócić Żurawia, nie ma mocy na to. Ksiądz?! — Sławka odeszła z urazą: pocóż to się naigrawa z niej na sądzie, tego i księdzu nie lza. Koprzywa drepotał wtedy pobok, gładził ją po łopatkach, burczał: „A gadałem, głupia, nie idź ze skargą do księdza: nagoni cię. Poszłaś, głupia, i co? Pomógł to ci ksiądz?“ — Nie pomógł. Sławka wracała wtedy na podgrodzie, łykała łzy, wciąż wrażał w niej żal do księdza — żal, uraza i bezsilny gniew: czyliż nie ma siły na Żurawiowe szaleństwo? Ostrzegła go przed złym znakiem wtedy, gdy po raz pierwszy Dudek pokazał mu krzyżyk po powrocie z niewoli. Czegóż się doczekał Żuraw od owego znaku: ciosu siekiery po czerepie. Czy tego chciał, tego w puszczy szukał? — wciąż szloch nią targał; już nie o to, że jedna ostała, że Żurawia nie ma, że starość będzie miała samotną i pustą, ale o to, że nie może swego głupiego chłopca pojąć, nie może żyć dumką, którą on żył — oni i Dudek — nie może sama sobie rzec: „A no Żuraw, nijakiej rady nie ma, mus ci było tak zrobić, jakieś zrobił.“ — Gdyby to mogła rzec — a nie może. Jesliby Ważyk był w chacie, słyszał Całkowe bajanie, możeby co wyrozumiał. Ale Ważyk odkąd dostał nowe gęśle...

— Nie nie obchodzą durnia ociec i stryk — krzyknęła w głos. — Nie miłował on swego tatki, ni razu nie zatażył za nim... — przykryła sobie twarz dłońmi, po strapionej, spuchłej od płaczu twarzy wciąż się jej łzy lały.



RZYM W ROKU JUBILEUSZOWYM

Wywiad z Ks. Prof. Eugeniuszem Dąbrowskim

DRUKUJEMY poniżej fragmenty rozmowy jaką przeprowadził współpracownik naszego pisma ze znanym bibliistą, autorem przekładu „Nowego Testamentu“ na język polski Ks. Prof. Eugeniuszem Dąbrowskim w związku z jego niedawnym, kilkumiesięcznym pobytem w Rzymie. Przy okazji sygnalizujemy naszym czytelnikom, że w jednym z najbliższych numerów zamieszcimy wywiad z Ks. Prof. Dąbrowskim na temat jego wrażeń z Paryża, gdzie się na pewien przeciąg czasu zatrzymał w drodze powrotnej do Polski.

Redakcja.

W jakim stopniu Rzym zmienił swój wygląd podczas wielkich uroczystości jubileuszowych?

Każdorazowy przyjazd do Rzymu wiąże się z jakimś nowo-odkrytym szczegółem, z nieznanym przedtem zabytkiem przeszłości. Ale Rzym w Roku Jubileuszowym zwraca przede wszystkim uwagę swą strojną szatą i gotowością na przyjęcie pielgrzymów. Napłynęło ich już wiele, do końca roku napłynie znacznie więcej i oni to nadają Wicznemu Miastu znamię szczególne, żywo przypominające powiedzenie Tacyta „colluvies nationum“ — „wielkie spotkanie narodów“.

Pod znakiem pielgrzymy upływa życie Rzymu od początku Roku 1950. Pomniki przeszłości w artystycznej iluminacji pozdrawiają go każdego wieczoru, dzieje Kościoła wypisane niemal w każdym zaułku miasta przypominają mu sławną przeszłość, a Bazylika Watykańska i odbywające się w niej uroczystości wskazują na niespożytą siłę Kościoła i wciąż odnawiającą się Jego młodość.

Zjazdy, kongresy, wystawy, uroczystości beatyfikacyjne i kanonizacyjne — wszystko to w splendorze barokowych tradycji wyrzucić musi na każdego wpływ niemały.

Tym bardziej, że nie tylko kościoły, ale i ulica rzymska zmieniła w Roku Świętym swój wygląd: w pewne dni pustoszeje. Tam gdzie niegdyś wodziła rej Włoszka, wygłaszająca długie tyrady na temat spraw bieżących, zdarzeń w danym quartiere — dzisiaj cisza i jak gdyby zamyślenie. Nawet *Campo di Fiori* przybrało odświętną szatę.

W dniach szczególnych uroczystości kościelnych ożywia się natomiast Plac św. Piotra. Włosi zasiadają półkolem w kolumnadzie Bernini'ego, a przez Plac przesuwają się jedne za drugimi pielgrzymki.

„Padre — śpiewa do mnie jakaś Włoszka — co to za pielgrzymka w tych dziwnych strojach i w sukniach zbyt krótkich jak na dom Boży przystało“.

„To Korsykańczycy — odpowiadam — w strojach ludowych, które może nie odpowiadają wszystkim kanonom włoskim, ale mają za sobą długą i barwną tradycję“. Potomkowie piratów i bandytów korsykańskich mijali nas właśnie śpiewając swe francusko-włoskie pieśni.

Czy spotkał Ks. Prof. jakichś oryginalnych lub egzotycznych pielgrzymów?

Wspominałem już o pielgrzymach Wschodu, będących niewątpliwie egzotyką dla Rzymu. Największą chyba egzotyką był udział w kanonizacji Joanny Francuskiej kilku nastu atentacyjnych królów murzyńskich, w złotych koronach na głowie. Tworzyli oni wcale barwny korowód i w Bazylice Watykańskiej zasiedli na honorowych miejscach. Ponadto przybyło wielu pielgrzymów budzących ogólną sensację. Na hrabinę bawarską Matyldę, skądinąd znaną sportsmenkę, przybywającą do Rzymu konno, czekało wielu ciekawych. Reporterzy amerykańscy usiłowali jej towarzyszyć podobno już od Werony. Nie wiem czy należałoby zaliczyć do pielgrzymów oryginalnych księcia Rajnera z Monaco, lub b. cesarzową Zytę. Utrzymywano, że przybyli oni w celach wyłącznie religijnych, chociaż nie wszyscy dawali temu wiary.

Dla mnie oryginalnym pielgrzymem był starzec mający 103 lata, który podróż wynoszącą kilkaset kilometrów odbył pieszo. Nie bez dumy patrzył w obiektywy aparatów fotograficznych licznie ustawionych na jego przybycie na Placu św. Piotra. Al! największe wrażenie uczynił na mnie inny pielgrzym, starzec siwobrody, który przybył z Francji również pieszo, wiedząc za sobą wóz służący mu za mieszkanie. Ten francuski „Drzymala“ od pierwszej chwili zwrócił moją uwagę, tym bardziej, że na przodzie swego wozu pomieścił napis:

„Je suis pauvre, de ce que j'ai“
a na końcu „Je suis riche, de ce

NIEPRAWIE gadła stryjna —

Ważyk przeżył długie miesiące tęsknoty za ojcem i mimo wesołości tkwiła w nim dotąd ta tęsknota. Lecz najostrej czuł ją wówczas, gdy zgóła rok gnił we Wrocławiu. Nie powiodła się wojna chłopcu: nigdy nie włożył już pięknej zbroi-ukutej przez ojca. I może to żal za bronią złączył się w jedno za żalem za ojcem — i broń i ojciec chłopcu na zawsze.

Zadrwiła wojna z Dudkowego syna. Wtedy, gdy szedł ze swym drużgiem, Żarkiem Śliźniem, wielką chasą na kraj Głomaczów, obu niejedno roilo się w oczach. Spodziewali się lupu nabrać, wojacką sławę zdobyć, wrócić starymi, doświadczonymi wojami. Ważyk sam nie wiedział, kiedy to wbił sobie w piętę półgnięłą drzazgę; czy wtedy, gdy — pohukując — drapał się wraz z Żarkiem na wał Cyryna, czy kiedy biegł ulicami grodu, rozglądając się dookoła za upem a wrogami? czy może — gdy n rozkaz Gza wywoził konie z pałacej się stajni — sam w strachu, by dach się mu nie zapadł na łeb? Dopiero wieczorem poczuł, że go coś kłuje w stopę. Znuł skórzeń, w brudnej pięcie ledwo widniała ulamana drzazga — a piekło, jakbyś rozżarzony ćwiek wbił do nogi. Chłopiec próbował dostać piętę zębami — nie zdołał. Jak umiał, wydłubał drzazgę nożem, potem obuł się prędko, bo woje już krzyczeli, że księżyc Mieszka ciągnie od Mogilna — wiele huku było między wojami o srom księżycza; Ważyk zrazu zapomniał o nodze. Ale gdy szli ku przepławie, kulał się mocno.

Potem — we Wrocławiu — plakał jak niedorostek nad swoją gańbą. Żeby to woj powalił go w bitce, żeby go rąbnął toporem, Ważyk wiedziałby, czemu kulawcem został na całe życie. Wiadomo — w wojnie: abo ty jego, abo on ciebie. Ale zadzióra... drzazga gnętego drzewa wbita w piętę... — Nie tylko z wierzącego bólu przewracał się Ważyk na słowie, nie tylko z ostrego rwania w całej nodze skowytał — niemniej ugniatała bezsilna gorycz: tako go urządziła wojna. Będą go pytać na podgrodziu hrakowskim, gdzie chępli się ongiś swoim tatka, pierwszym kowalem w księstwie, — swoją bronią, jakiej mu mielmoże zazdrościli, swoją przyszłością wojacką. „A kajś to, Ważyk, nogę utracił? W jakim boju?“ — „A... w boju... Zadzióra mi w piętę wlała, od zadziory mi noga zgniła, ni jednegom Niemca nie ubił, tyle, żem ich zdała na wale widział, w grodzie Cyryn“. — I rzucający się w gorączce Ważyk słyszał gromki rehot gromady: „Widzita, jak to wojny zażył, smard. A tako się puszył, tak nadymał z oca i bronii, pomnił“.

Któż w całym księstwie pamiętał o młodym chłopcu, który myślał, że wojna ma jemu służyć, jego wyższeniu i bogactwu? Nie liczy się

Drzazga

ciąg dalszy

jeden woik — nie tylko on odpadł. Nowi na jego miejsce przyszli, zatkali dziurę w dziesiątce, ani się oń kto zatroskał. Nawet najbliższy drug, Żarek, miał tam swoje własne, Żarkowe kłopoty, zapomniał go całkiem; tym mniej pamiętał zbierający wojów na Mazowszu Giez Śliźień, tym mniej wojewoda pancernych, Odrzykoń, który jeno broń Ważyka odesłał do Krakowa — i tyle tego. Może tam ktoś już wdział błyszcząca kolczugę, przypasał miecz, zabrał topór nabijany srebrem i nóż kowany w Firency? Gdzieś zaprzepaścił się Dudków syn, jak jeden z mnogich wiórków ciosanych siekierą wojny. A no — nie ma wióra, wždy pień się liczy, nie wióry. Pień. Księstwo.

Twarde i nieczułe jest serce ludzkie na wszystko, co zostało odrzucone na bok — w zwyczajnym pochodzie życia. Choćby to był młody ciotek, któremu głowa wprzódy gorzała od rojeń, a któremu wszystko się potargało od drobnej, półgnięłej drzazgi. Drzazga! — czyż warto jedną myśl jej poświęcić, jeden przelotny rzut oka?

Wojna wstrząsnęła dolą wielkiego księstwa i życiem mrowia ludzkiego — wojna się liczy. Śmiech mówić w czas wojny... o drzazdze. Dziwnie spłotła się wojna i drzazga w życiu Dudkowego syna. Czy poto pod Cyryn szedł na Głomaczów, by tę swą drzazgę napotkać? Odprysk drewna, który się dlań okazał ważniejszy, niżli wojna.

W gorączce i bólach długo miotał się Ważyk, Dudków syn — ledwo tam kto czasem zajrzał do chorego, szmaty zmienić, wody przynieść i jada. Stopa spuchła jak beczka, całą nogę pokryły czerwone plamy, ból doszedł aż do pachwiny. Dwakroć kaprawy staruch zamawiał nogę, gdy nie pomogło, nożem przeciął nabrzmiennie, wprzódy zaklinając żelazo w ogień, mrucząc coś i odganiając złe moce. Wtedy dopiero chłopcu zdziębko ulżyło, żar się zmniejszył, powróciła przytomność. Helum, jak waliła ropa z rany, ciepla ciurkiem, by miód z dziurawego garnka; pewno kilka wiader wyszło z chłopca — dziw, że w cieleku siedzi tyle paskudztwa. Była już późna jesień, a do wiosny przeleżał jeszcze Ważyk na barłogu. Śmierdział strasznie, ludzie stronili od niego, dano mu niewieleczutką, ciemną komorę, tamok leżał ze swymi niewesołymi dumkami. Wiedział już, że nie chodzi mu szparko, że trzeba pożegnć się z wojaństwem — a wszystko w chłopcu rwało się, by w drużynie ostać. Nie gorzej od nogi dolegała samotność. Ani pożalić się przed kim na dolę, ani zakląć społem na wojnę — kogóż to

ma? Druga, który go kajś odbieżał — zdrowy, dwunogi — stara ciotę i... mać, co się go całkiem wyrzekła, chowając dzieci od wtórnego chłopca, od Czarnego. Prawda, miał Ważyk ojca — miał, a jakby nie miał: zamknął się tata w eremie, zakazał synowi nachodzić siebie, na oczy się pokazywać. Ukulał broń dla syna, oddał go piastunowi — nieladajakiego obrał piastuna: Odrzykonka, jednego z pierwszych w księstwie — i przebijaj się synu przez życie i wojnę, by przez puszcze. A że syn ostał kuternogę... — nie wiedział o tym ojciec, a wiedziałby... możeby nie dbał o to. Ważyka dławilo w gardle, paliła gorycz i żal do ojca.

Leżąc tej długiej, niekończącej się zimy w ciemnej klitce — samotny i opuszczony, z ciekącą nogą, w oczekiwaniu kusztowania przez całe życie — prowadził Ważyk długie pogwarki z cjemem; ani wiedział, że od jesieni jego ojca, pogodnego brata Mateusza, ubiła siekiera puszczańskiego zbója. Ważyk przypomniał sobie tych parę lat, gdy odjęty matce żył z ojcem na podgrodziu krakowskim, w chacie Żurawia; pomagał wtedy w kuciu, dmuchał miechem, albo klezcze trzymał — nabierał kowalskiego umu. Wesoły człek był tatka, śpiewał wiele i śmieszne gadki bajął — rozumieli się z nim zawsze w jeden mig; stryk uraw nieraz gały w zdumieniu wywalał — czego to rechoczą, aż im oczy słzami zachodzą. Tatka gwarzył o dalekich krajach, o Italii, gdzie mrozu nie uświadcysz i gdzie stoi wielki gród Firenca; a wszystko tamok pobudowane z kamienia, wszędy wielka moc cyrkwi, luda mrowie, a bogactwa takie, że dech zapiera. Przed oczyma chłopca mieniły się te dalekie ziemie, skrzące od słońca, wabił go nowy obyczaj, nowy ład — aż ssało w dołku z tej tęsknoty — z uwielbieniem spoglądał Ważyk na ojca, który widział one cudenka. Zbroje ponoć umieją tam zrobić tak cienkie, jakich tutki żaden kowacz nie ukuje, a mocy dwa albo trzy razy większej, niżli tutejsze. Dudek obiecywał synowi: „Ukuję ci tyli kolczugę, jako żaden woj w księstwie takiej nie ma, podrośnij jeno“ — i w niebieskich oczach Dudka błysnęła wesołość, obaj z synem wybuchali śmiechem, aż stryj Żuraw unosił wysoko brwi, patrzył na pomyśleńców zadziwionym i karcącym spojrzeniem. — Tako dumalo się na podgrodziu krakowskim — żaden z nich nie wiedział, że w dalekim Cyrynie odłupiła się od szczapy drzazga i ostrym końcem cierpliwie czeka na stopę Dudkowego syna.

— Co nynie robić mnie, kuter-

nodze? — wykrzykiwał w głos Ważyk, jakby tata był o ścianę i mógł go słyszeć.

A no, nie nie poradzisz. Ale teraz, skoro na nic ukuta przez ojca broń, niechże tata дума, co ze mną robić — wargi chłopca wykrzywiały się gorzko, znów doń wracała uraza do ojca, jakby to Dudek był winien, że syn na zadziore włazł. Tymczasem rana się zasklepiła, by znów się otworzyć, znów ciepla ropa, cała stopa do kostki bolała i gorzej od bólu swędziła; już to swędzenie do reszty obrzydziło życie Ważykowi.

Wiosną wyłaził jakoś na dwór, siadywał pod ścianę domu, niewesoło думаł. Co ma robić? Kość w piętę wygniła mu całkiem, stopa się przekreśliła do wewnątrz, zrosła się wszystko krzywo — będzie już kosałapy po koniec swych dni. Dochodziły go wieści o wojnie, ale nie obchodziła go już ta wojna, nie dla niego już ona — dla prostonogich wojna i dla zdrowych. I wtedy to — w czasie tych dumek pod ścianą domu postanowił Ważyk iść do ojca; niechże tata powiedzą, co ma ze sobą robić.

Jakoś wróciła chłopcu otucha — już tam ojciec weźmie jego dolę na barki; aż zaśmiał się Ważyk na tę prostą dumkę.

W tym czasie podrużył się z wojem, którego przyciągnęli latoś z Pragi, bo miał bok przebity; zwał się ten woj Świętek. Rana mu zarosła, ale był blady na gębie, jak trup wyjęty z ziemi, nos się mu wyciągnął, niebieskie oczy świeciły z oczodolów wypemionych samą jeno pomarszczoną skórą; pluć krwiał, ale mimo choroby chłop był wesoły. Między podziurawionymi nie ogląda się na to, który jest woj, a który — otrok: Świętek z Ważykiem pokumali się rychło. Woj kazał chłopcu odwiązywać szmaty na nodze, kiwał głową.

— Już ty nie pochodzisz na obu nogach, będziesz ciągnął kulas za sobą, by zwisającą kłodę. — Ważyk poczuł ucisk w gardle, nie odrzekł nic.

— Kaj to cię tak urobili? — pytał Świętek.

— W grodzie Cyryn. Kiej ksiądz na Głomaczów szedł... — wyjąkał Ważyk, czerwony jak oskrobana marchew.

— Wiem — Świętek uśmiechnął się chudą twarzą — jest pieśń o tej chasie, śpiewali mi ja woje, co tamok byli. Nie byle w jakiej rubieży ciachnęli cię w kulas. Ii... mnie kolnęli w czeskiej gospodzie, smardy, psiamać, nie woje — i Świętek długo bajął o Czechach, o gadkach praskich, o tym, jak Stojgiew obwiesił dziewięciu smardów za to, co zrobili jemu, Świętkowi. — Gadal mi, że ksiądz był krzyw na wojewodę za srogość, wždy taka tam srogość: dziewięciu smardów. Mało ich obwiesił, ot co.

D. c. n.

SP. WYD. „PAX“, INST. WYD. WYSŁA

NOWY TESTAMENT

Wyd. II.

PRZEKŁAD Ks. PROF.

DĄBROWSKIEGO

cena 720 zł

G. BERNANOS

POD SŁONCEM

SZATA NA

cena 950 zł

B. MARSHALL

CHWAŁA CORY

KROLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKE DRZEWORYTÓW

„OJCZENASZ“

K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

G. BERNANOS

PAMIĘTNIK

WIEJSKIEGO

PROBOSZCZA

cena 900 zł

GRAHAM GREENE

SEDNO SPRAWY

cena 950 zł

JAN DOBRACZYŃSKI

NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

cena 700 zł

po wpłacie na KONTO PKO

1-8515

SP. WYD. „PAX“, INST. WYD. W-WA. MOKOTOWSKA 43

que je n'ai pas". Jakżeż pan może być bogatym, przez to, że pan nic nie posiada? — zapytałem go z zainteresowaniem.

Odpowiedział mi z uśmiechem: „Mon pere — Czyżby Ojciec naprawdę nie rozumiał jeszcze tego co stanowi „le grand paradoxe chrétien“ i szczyty, powiedzmy, metafizyki chrześcijańskiej.

Ten pielgrzym wyraźnie mnie pasjonował. Co bym dał za to, aby wydrzeć mu powód jego pielgrzymowania do Rzymu. Ale przyjaźń nasza skończyła się z chwilą, gdy się od niego chciało czegoś dowiedzieć. Spojrzał na mnie zasmucony i odrzekł z powagą: „Myślałem, że przynajmniej w Rzymie nikt mi nie zada takiego pytania“.

Czy zewnętrzny splendor obchodów jubileuszowych ma swój odpowiednik w rozumieniu treści religijnej Roku Świętego przez rzesze wiernych?

Trudno o tym wydać jakiś sąd miarodajny i nawet najbardziej wprawne oko w tłumie rzymskim nie odróżni turysty od pielgrzyma. Znakomity pisarz florencki Giovanni Papini przestrzegał w swym artykule na rozpoczęcie Jubileuszu przed nadużywaniem rzeczy świętych dla celów turystycznych. Wiąże się to, powiedziałbym, z pewnym taktem religijnym przybywających do Rzymu. Zresztą nie tylko Rzym, ale i inne miasta włoskie w szeregu zjazdów, wystaw czy imprez ustawiły się zdecydowanie w płaszczyźnie religijnej: w Neapolu np. otwarto wielką wystawę dzieł Kościoła w południowej Italii, z uwzględnieniem odrębności rytów i języka liturgicznego, we Florencji nawet świeckie zjazdy międzynarodowe uzgadniały swe programy z Komitetem Roku Świętego. Tak, że nawet turysta po przekroczeniu granicy Włoch znajduje się mimowoli w atmosferze specjalnej, która w niejednym wpływa na zmianę jego celów podróży, budząc nieprzewidziane zainteresowania czy refleksje.

Czy uczestniczył Ks. Prof. w jednej z licznych uroczystości kanonizacyjnych?

Beatyfikacji i kanonizacji przewidzianych na Rok Jubileuszowy jest bardzo wiele i każda z nich ma swój odrębny koloryt i napięcie. Niektóre, jak np. beatyfikacja Wincentego Pallotti czy Dominika Savio były uroczystościami niemalże włoskimi; decydowało to o ich radosnym, pełnym podniecenia, okrzyków i gestykulacji charakterze, na który niejednym cudzoziemiec patrzył ze zdumieniem. Zwłaszcza młodzież z instytucji św. Jana Bosco przy beatyfikacji Dominika Savio uznała ten fakt religijny za jakieś osiągnięcie sportowe, czemu głośno dawała wyraz. Zwiedzała też Bazylikę Watykańską bardzo dokładnie. Nazajutrz służba w pośpiechu usuwać musiała wymowne na-

pisy na pomnikach papieży, postaciach świętych i słynnych aniołach podtrzymujących kropielnice. Przy tym napisy te nie zawsze odpowiadały charakterowi Roku Świętego.

Kanonizacja św. Antoniego Marii Claret'a zgromadziła w Bazylice dziesiątki tysięcy Hiszpanów, a znowu Joanny Francuskiej prawie 60.000 Francuzów z Arcybiskupem P ryzą na czele.

Jakie Zjazdy Katolickie, wystawy czy kongresy zostały przewidziane na Rok Święty?

Pierwszym był zjazd prasy katolickiej, który odbył się w lutym. Nie sądzę, aby stworzył on jakiś nowy program lub wskazał nowe metody pracy. Na kongresie ograniczono się do szeregu komunałów znanych od dawna bez istotnego zrozumienia tej problematyki, która narasta i rozwiązana być musi. Odbyły się również zjazdy duszpasterskie o charakterze mniej czy więcej międzynarodowym, na których jednak omawiano tylko doświadczenia francuskie, ustosunkowując się do nich zasadniczo krytycznie.

Pewną sensację wzbudził natomiast Międzynarodowy Kongres badań nad Całunem Turyńskim, który odbył się w dniach 1—4 Maja we wspaniałej sali „Cento Giorni“ w Palazzo Cancellaria. Zgromadził on znaczną ilość uczestników, przedstawicieli główniejszych narodów świata. W kongresie tym wzięłem bezpośredni udział ze względu na znaczenie tych badań dla bibliistyki.

Nie chcę wchodzić tu szczegółowo w pewne zagadnienia, które od 50 lat pasjonują uczonych. Zaznaczę tylko, że Całun Turyński stał się przedmiotem badań szczegółowych ze strony historyków, medyków, chemików i egzegetów. Ci ostatni okazali się najbardziej oporni w uznaniu jego autentyczności. I gdy na kilka lat przed wojną dr Hynek rozpoczął akcję w wielkim stylu, zmierzając do uczynienia z Całunu Turyńskiego jakiegoś *locus biblicus*, któryby miał decydować o tekście ewangelii — egzegeci przeciwstawili mu się stanowczo w oparciu o samą Ewangelię.

Kongres rzymski miał na celu uzgodnienie stanowiska medyków i chemików ze stanowiskiem egzegetów. Z tego właśnie względu budził powszechną uwagę. I to tym bardziej, że przybyło nań wielu wybitnych uczonych znawców tematu i bibliistyki. Wystarczy zaznaczyć, że zapowiedziany był przyjazd dra Hynka, dra Judica Cordiglia, a zwłaszcza dra P. Barbet'a. Ten ostatni na krótko przed kongresem wydał w Paryżu głośne już dzisiaj dzieło p. t. *La Passion de N. S. Jésus Christ selon le chirurgien* (Paris, 1950), które też stało się punktem wyjścia dla kongresu i głównym przedmiotem dyskusji.

Czy kongres badań nad Całunem Turyńskim doprowadził do jakichś konkretnych wniosków w tej kwestii?

Niestety, nie. I osobiście wynik kongresu oceniam jako zdecydowanie negatywny. Przyznaję, że świetny wykład dra Barbet dotyczący fizjologicznej przyczyny śmierci Chrystusa Pana na krzyżu trafił mi do przekonania. Ale sądzę, że wartość jego jest niezależna od autentyczności Całunu Turyńskiego. Zwolennicy tej autentyczności mają przed sobą niepokonalną trudność, mianowicie opis pogrzebu Chrystusa w ewangelii św. Jana. Dopóki ta trudność nie zostanie wyjaśniona, wszystkie wysiłki kongresu każdy szanujący się biblista uznać musi za całkowicie niezadowolające w tym względzie i żaden egzegeta nie może przyjąć autentyczności Całunu.

W ostatnim dniu kongresu zresztą widać było, że uczestnicy jego stanęli przed groźnym dylematem: autentyczność Całunu albo Ewangelia Jana. Wszyscy egzegeci bez różnicy kierunków są zgodni w tym względzie i ich zdanie w tej kwestii musi być miarodajne. Nie znaczy to, aby można było przejść obojętnie wobec badań medyków i chemików. Ale słowo ostatnie mieć będzie zawsze Ewangelia św. Jana.

Jakie echa znalazł Rok Święty w literaturze katolickiej?

Nie chodzi chyba Panu o publikacje dotyczące samego Roku Świętego, jego historii itd., bo tych zjawilo się wiele i różnej wartości. Na szczególną uwagę zasługuje np. publikacja Vittorio di Giacomo p. t. *Anno Santo* (Milano, 1949). Myśli Jan, zapewne, o odgłosach Roku Świętego w literaturze światowej.

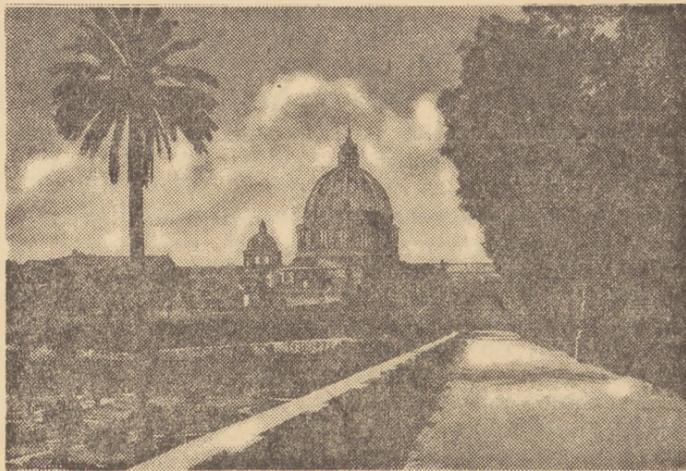
Otóż w tej sprawie odezwało się wielu sławnych pisarzy: *Giovanni Papini, Paul Claudel, Daniel Rops, Henry Bordeaux, François Mauriac*. Każdy z nich na swój sposób wita Rok Święty i wysławia jego wspaniałość. Fr. Mauriac Bazylikę Piotrową nazywa „*balkonem świata*“, a Claudel „*bramą, wiodącą do wieczności*“.

Wielu z tych pisarzy wzięło już osobisty udział w Jubileuszu. I sądzę, że ich przybycie do Rzymu winno być bardziej sygnalizowane niż przybycie belgijskiej królowej — wdowy Elżbiety, lub odjazd ambasadora Taylora.

Widziałem Claudela w Rzymie w okresie Wielkanocnym. Przybył na czele trupy paryskiego teatru Heberlot, aby dać w Rzymie kilka przedstawień swoich sztuk. W programie było m. in. „*L'Annonce faite à Marie*“ w czwartej wersji z roku 1938. Fragmenty „*Zwiastowania*“ artyści teatru Heberlot recytowali przed Ojcem Św. przyjęto je entuzjastycznie.

Prasa rzymska witała z entuzjazmem Claudela nazywając go „*Dantem XX-go stulecia*“. A poeta do witających go dziennikarzy powiedział: „*Jestem za stary (Claudel ma 84 lata), aby chodzić, ale dość młody aby w Roku Jubileuszowym przykleknąć w Bazylice Watykańskiej*“.

Nie wiem czy Jubileusz 1950 roku pozostawi jakieś trwałe ślady w światowej literaturze katolickiej. Być może, że znajdzie się ktoś, kto uchwyci jego sens istotny i w artystycznym ujęciu przekaże potomności. A mówiąc tak mam na myśli inny Jubileusz, ten, który ogłoszony przez Bonifacego VIII związany jest nierozdzielnie z imieniem Giotto i Dantego. Pierwszy przedstawił nam papieża na słynnym fresku z Bazyliki Lateraneńskiej, jak z bullą Jubileuszową ogłasza Rok Święty. Drugi odbył pielgrzymkę do Rzymu i stała się ona w jego przeżyciu prototypem innego pielgrzymowania: tego, któremu w wymiarach już kosmicznych dał wyraz w „*Boskiej Komedii*“.



Ogród Watykański

Ille jest prawdy w pogłoskach o odkryciu Grobu św. Piotra w Bazylice Watykańskiej?

W dużym stopniu wieści te zgodne są z faktycznym stanem rzeczy. Poszukiwania archeologiczne w Bazylice rozpoczęto przecież nazajutrz po śmierci Piusa XI t. j. przed przeszło dziesięć laty. Praca trwała prawie bez przerwy i nie czyniono bynajmniej tajemnicy z tego, że rezultaty są wprost niezwykłe.

Ojciec Św. zastrzegł sobie prawo podania ich do wiadomości całego chrześcijaństwa. Nie znamy tedy pełnej jeszcze prawdy. Ze wszystkiego jednak co dotychczas wiadomo nie trudno wysnuć następujące wnioski:

1. Bazylika Watykańska wzniesiona została obok dawnej drogi rzymskiej z grobowcami i mauzoleum;

2. grobowce te i mauzolea znajdowały się w pobliżu cyrku Nerona;

3. cesarz Konstantyn W. budował Bazylikę w miejscu bardzo trudnym terenowo. Wystarczy zaznaczyć, że dla wzniesienia fundamentów w określonym miejscu musiał przedtem dokonać prac niwelacyjnych przez nawiezienie jakichś 40.000 mtr. kub. ziemi. Wydaje się to tym dziwniejsze, że kilkadziesiąt metrów dalej mógł budować kościół bez zadawania sobie tego trudu;

4. obok mauzoleów pogańskich pod Bazyliką odkryto również i groby chrześcijańskie w dobrze przechowanym stanie;

5. w jednym z grobowców znaleziono „*graffiti*“ wzywające pośrednictwa św. Piotra, podobne do tych któreśmy znali z katakumb św. Sebastiana.

Jeśli się wszystkie te dane weźmie pod uwagę, czas pomników gro-

bowych, ich roznieście i napisy i porówna się z tym głosem tradycji, mówiące o śmierci św. Piotra w cyrku Nerona na wzgórzu Watykańskim w r. 64 po Chr. — to zgodność pomników archeologicznych z dokumentami tradycji udzielić musi każdego. I wówczas zaczynamy rozumieć, dlaczego to już w wieku 2-im kapłan rzymski, C j us, odwołuje się do Grobów Apostolskich jako do widomych trofeów rzymskiego Kościoła, pisząc: „*Ja zaś mogę pokazać trofea apostoelskie. Wstąp na wzgórze Watykanu, albo idź na drogę do Ostii, a znajdziesz tam trofea tych, którzy ten Kościół założyli*“.

Jeśli idzie o znalezienie wprost relikwi św. Piotra, to krąży na ten temat różne pogłoski. Należy jednak zacząć dopóki nie przemówi Ojciec Święty i nie poda nam do wiadomości jeszcze w Roku Jubileuszowym dalszych szczegółów. Gdyby relikwie te istotnie odnalezione zostały nie waham się twierdzić, że Jubileusz obecny przeszedłby do historii jako Jubileusz odnalezienia pod Bazyliką Watykańską, w miejscu gdzie miliony pielgrzymów przez tyle stuleci zginało swe kolana, śmiertelnych szczątków Księcia Apostołów i Namiestnika Chrystusowego na ziemi.

Czy pobyt w Rzymie dał Ks. Profesorowi nowe materiały nauk. we do badań biblijnych?

Posunąłem swe niektóre prace znacznie naprzód i napisałem kilka aktualnych artykułów z dziedziny współczesnej bibliistyki, które stopniowo ogłaszać będę drukiem. Pierwszy z nich omawiający odkrycie manuskryptów hebrajskich w grocie skalnej nad Morzem Martwym i dyskusję toczącą się od dwóch lat wokół ich znaczenia — ukaże się w ciągu najbliższych tygodni.

Rozmowę przeprowadził M. R.



Most Lungotevere w Rzymie

Nowość

Nowość

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

opowiadania

NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX“ Inst. Wyd.

Skład główny: Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań,

św. Marcina 34.

„Veritas“, Warszawa, ul. Widok 5.

QUIDAM

O GRACJANIE SŁÓW PARĘ CZYLI O MĄDROŚCI POLITYCZNEJ

STNIEJE w literaturze światowej pewien typ szczególny w postaci zbiorów maksym, lub też krótkich myśli będących wyrazem poglądów autora na jakąś kwestię, jakieś zagadnienie życiowe lub zespół pewnych problemów. Nie tworzą one zawsze ścisłej ze sobą całości, ale czerpiąc z bogatego zasobu myśli, z wielkiego doświadczenia życiowego, z długich rozważań, medytacji i przemyśleń autorów dają nam prawdziwe skarby z dziedziny filozofii życia, zagadnień wielkiej acz codziennie stosować się mającej moralistyki i tego co nazwać byśmy mogli w najlepszym tego słowa ujęciu mądrością życiową.

W starożytności myśli Epikura, Epikteta, Teofrasta czy Marka Aurelega, później w czasach nowożytnych La Rochefoucauld, La Bruyere i t. d. zyskały sobie nieśmiertelną sławę.

Na początku XVII wieku poprzedzi ich i zastąpił Baltazar Gracjan, Hiszpan z rodu, duchowny z zawodu, a głęboki myśliciel i moralista z powołania. Ten skromny, cichy zakonnik wywarł wielki wpływ na umysłowość nie tylko swego kraju, ale całej „łacińskiej” Europy, ponieważ prace z dziedziny religijno-moralizatorskiej, które pozostawił po sobie oddziaływały nie tylko na formowanie się myśli u wielu późniejszych autorów, którzy z Gracjana obficie czerpali, ale również były tłumaczone na szereg języków europejskich i stały się ulubioną lekturą, tak długo, dopokąd starczyło wydań. W Polsce aż do przełomu XVIII/XIX wieku doczekał się Gracjan czterech wydań, a że ów socjolog i psycholog społeczny nie przeżył się i nie skończył, dowodem tego jest fakt, że w 300 lat po pierwszym wydaniu i po zgonie autora, jego myśli są nadal aktualne i znajdują nie tylko chętnych

czytelników, lecz i przede wszystkim... wydawców!

Urodził się Gracjan w roku 1601 w Aragonii w miejscowości Belmonte z bardzo skromnej, więcej ubogiej jak niezamożnej rodziny; gdy ukończył szkoły w Toledo wstępuje mając zaledwie 16 lat do zakonu i niebawem zasłynie z nauki, zdolności oratorskich i dowcipu. Wnet dostaje się też do Madrytu, gdzie zostaje powołany na stanowisko jednego z Kapelanów-Teologów Nadwornych Króla Filipa IV. Dzięki temu uzyskał on nie tylko wgląd w sprawy wielkiej polityki, ale również i możliwość czerpania z obfitego skarbu codziennej obserwacji życiowej, spraw ludzkich i spraw państwowych, tego bogatego zasobu myśli, które ujmował później w sentencje, spisujące dzień po dniu i gromadzone w ten sposób w prawdziwie składowiec mądrości, dla przekazania go bliżnim współczesnym i przyszłym. Jego zbiór medytacji religijnych „El Comulgatorio” (1655 r.), jego alegoryczna powieść „El Criticon” (1651 — 1657 r.), a nade wszystko jego „Oraculo Manual” (Wyrocznia podręczna) (1647 r.) zjednały mu wielką sławę, a ta ostatnia spowodowała, że te 300 maksym o różnej objętości, stanowią prawdziwy zasób wskazówek co do sposobu postępowania w stosunkach z ludźmi i w kierownictwie spraw publicznych.

Gracjan znajdował się w sytuacji człowieka wybitnie zdolnego, którego warunki życiowe egzystencji, oraz epoka w której przypadło mu żyć przeszkodziły w całej pełni użytkować dane osobiste na szerokiej arenie publicznej i dlatego zamknięty w obrębie tego świata, którego krąg był mu dostępny, zagłębił się w samym w sobie i z przeżyć osobistych, które miały wartość prawdziwej mądrości.

Mądrość nie jest rzeczą, którą można nabyć lub zdobyć; nabywa się lub też przyswaja sobie pewien większy lub mniejszy zasób wiedzy, ale nigdy mądrości. Bo mądrość jest rzeczą przyrodzoną, jest darem Bożym z którym się przychodzi na świat i z którego człowiek mądry korzysta nie tylko dla swej korzyści i osobistej chwały, ale również lokuje ją w sposób pozwalający na korzystanie z niej i innym, dając dowód umiejętności zastosowania tej ewangelicznej prawdy, że światła nie należy chować pod korzec.

Z siedmiu ksiąg, na które poza kazaniem (zaginionymi acz sławnie znakomitymi) i korespondencją (częściowo zachowaną) składa się bibliografia Gracjanowych prac. Najpierwsze miejsce zajmuje „Wyrocznia podręczna i sztuka roztropności” będąca zbiorem 300 małych rozdziałków rozwijających szereg krótkich zwięzłych zdań przyrodzonych w postaci maksym. Myśli te są zbiorem prostych i oczywistych rad oraz wskazówek, jak należy w życiu postępować aby przejść przez nie roztropnie, pożytecznie i nade wszystko światłobliwie.

Bo Gracjan, chociaż jest bardzo wnikliwym i trzeźwym obserwatorem, dającym rady niezmiernie nieraz rzeczowe i tak obiektywne, że pozornie wydać się mogą cyniczne, — nie zapomina ani na chwilę, że choć w rzeczach ludzkich trzeba postępować po ludzku to jest tak, jak twarde realizm sytuacji wymaga, to niemniej jednak nigdy nie należy zapominać o zasadniczym celu życia, którym jest zbawienie i że za tym należy w swych czynach zawsze mieć na pamięci aby na nie zasłużyć.

Ów autor, którego nie nazbyt długi żywot (1601 — 1658 r.), pełen rozmyślań i mądrości życiowej, upłynął na wielkiej pracy nauczycielskiej, największą sławę zyskał sobie przez wspomnianą już „Wyrocznię Podręczną” i doczekał się tego, że po 150 niemal latach ukazuje się on znowu na arenie publicznego życia umysłowego Polski w warunkach i okolicznościach najzupełniej szczególnych.

Oto uczony erudyta i miłośnik książek p. Bohdan Gajewicz, przechodząc się wzdłuż paryskiej Sekwany, u bukinistów, którzy nieopodal — bo naprzeciw — wyspy St. Louis i czcigodnej Notre Dame, w drewnianych skrzynkach umocowanych do kamiennych bulwarów rzeki, chowają swe skarby, znajduje przez przypadek (u bukinistów nadsekwańskich inaczej się nie nabywa!) pięknie oprawną książkę; bibliofila pociąga wspaniałymi safian okładki, kolorowy deseń oprawy, złoconia grzbietu, mały brewiarzykowy format i skłania do nabycia. Okazuje się, że jest to nie byle jaki kącik dla smakosza, bo trzecie wydanie francuskie Gracjanowej „Wyroczni” pod zachęcającym tytułem „L'homme de Cour” z 1692 r. Czasy Sobieskiego i Ludwika XIV! Erudyta rychło jednak pokonuje bibliofila i rozmyśla, że tak dalece w odkrytym autorze, że postanawia przyswoić go językowi polskiemu, tłumacząc i gruntownie opracowując. W ten sposób z uczonych badań nad autorem i jego dziełem, powstaje w ciągu paru lat, całe opus, któremu dzisiaj jako „wydarzeniu” poświęcić wypada niniejszy artykuł.

Więc p. Gajewicz stwierdza przede wszystkim, że nie jest „odkrywcą”, ale „wznawcą” Gracjana. Bo

przodki nasze tak się były rozsmakowały w jego rozumie politycznym i życiowym, że za dawnej Rzeczypospolitej aż w trzech wydaniach był im znany, a później — rzecz znamienna — kiedy epoka napoleońska była jakgdyby jutrzemką nowych czasów dla Polski i zaczynała animować zainteresowanie się do problemów współczesności na arenie nie tylko osobistej ale i publicznej, Ks. Wacław Sierakowski Kanonik Katedrały Krakowskiej, wydaje w 1802 r. w Krakowie nowe tłumaczenia „Wyroczni Podręcznej”. Zagłębiwszy się w treść sentencji Gracjanowych, p. Gajewicz uderzony jest faktem, że mimo iż mijają równe 300 lat od ich pierwszego wydania, zachowały one swą świeżość życiową. Zabiera się przeto p. Gajewicz do sporządzenia tłumaczenia dzieła opierając się na wspomnianym III wydaniu francuskim wraz z doskonałymi przypisami współczesnymi Pana A. M. Amelot de la Houssaie, ongiś Sekretarza Ambasady Francji w Wenecji. Sam zaopatruje tekst w uzupełnienia komentarza, pisze wstęp, bardzo ciekawe „Minucje” czyli przypisy, w których zapoznaliśmy się bliżej z autorem i jego dziełem. Ponadto wyposaża dzieło w bardzo pracowicie zestawione indeksy rzeczowe i alfabetyczne oraz w obszerną bibliografię — aparat pomocniczy, rzadki wręcz w tego rodzaju bibliofilskich wydaniach, ale pozwalający od razu czytelnikowi znaleźć „to” właśnie co mu jest jako myśl potrzebną. Dzieło Gracjana staje się przeto jakgdyby podręcznym kompendium — brewiarium, wiedzy politycznej i moralności publicznej, które się powinno mieć zawsze pod ręką, często czytać, jeszcze częściej doń zaglądać i w trudnościach życiowych oraz powikłaniach służby publicznej zasięgać rady, znajdując w nich busołą postępowania. Pan Bohdan tak się rozmiłował i przejął Gracjanem, że pomyślał się aż do nadania tej piątej polskiej edycji tytułu „Brewiarz Dyplomatyczny”, co może jest naruszeniem praw autorskich O. Gracjana ale i dowodem, jak bardzo tłumacz-wydawca znalazł we „Wyroczni” mądrości życiowe, których prostota i oczywistość przemawiają za wprowadzeniem ich do życia codziennego obywatela oraz polityka.

W ten sposób dochodzi do skutku w Paryżu w 1949 r. polskie wydanie Gracjana, będące pod każdym względem wypieszczone przez wydawcę-tłumacza cackiem. Strona typograficzna bez zarzutu; mistrz sztuki drukarskiej Leon Kunte pokazał swym francuskim kolegom, że polski drukarz potrafi być na poziomie; okładka wzorowana na wspomnianym wydaniu z roku Pańskiego 1692 przenosi nas swą delikatnością i bogactwem w najlepsze czasy baroku. Ilustracje przedstawiające znane portrety Gracjana, zapoznają nas „naocznie” z osobą autora. Parę inicjałów i ornamentów p. J. J. Nomarskiej pozwalają na wyrażenie cichego żalu (do wydawcy), że nie danym jej było skomponować do każdej sentencji osobnego inicjału początkowego; ale rozumiemy, że „le mieux est l'ennemi du bien”, więc za to dobre, które obdarzyła książkę i czytelników — dzięki.

Wydanie Gracjana p. Gajewicza, jest w całym tego słowa znaczeniu ewenementem na rynku bibliofilskim i bibliograficznym polskim, a choć wydane zagranicą godnie reprezentuje poziomem swej szaty zewnętrznej, dobrym tłumaczeniem i doprawdy wyjątkową aparaturą pomocniczą, wysoką klasę książki polskiej. Zwracamy nań uwagę i zachęcamy do pieczołowitego przechowywania, a więcej jeszcze do częstszego żeni korzystania tych nielicznych, którzy będą mogli stać się właścicielami tej pięknej i pożytecznej książki.*)

nej, dobrym tłumaczeniem i doprawdy wyjątkową aparaturą pomocniczą, wysoką klasę książki polskiej. Zwracamy nań uwagę i zachęcamy do pieczołowitego przechowywania, a więcej jeszcze do częstszego żeni korzystania tych nielicznych, którzy będą mogli stać się właścicielami tej pięknej i pożytecznej książki.*)

Ale nie na tym koniec ewenementu! Dualizm biegu wypadków, tak niekiedy uderzający w życie, zaczął żyć i na Gracjanie!

Gdy p. Gajewicz w nadsekwańskiej stolicy zamilowywał się w Gracjanie i szykował jego nowo-narodzone dla polskiego czytelnika, w samym kraju, nad lubelską rzeczką Bystrzycą, inny uczony mąż dostawszy do ręki dzieło Gracjanowe, uderzony został — podobnie jak jego paryski towarzysz — wyjątkowymi walorami i powziął takż sam zamiar udostępnienia go ponownie swym ziomkom. Z tych myśli, wynikały słowa, że słów czyn i równocześnie z wydaniem we Francji ukazuje się w Lublinie w tymże samym roku 1949 „Wyrocznia Podręczna” (Oraculo Manual) w tłumaczeniu i z wstępem Stanisława Łośa, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.**)

Obaj tłumacze dowiadują się „post factum”, że jak powiada Pan Wojski z „Pana Tadeusza” iż „i do jednej strzelili razem niedźwiedźcy”. Obaj nie wiedzieli zupełnie o sobie, ale okoliczność ta przynosi im jedynie zaszczyt, dowodząc jak obaj myśliciele, wykazali w wysokim stopniu „le flair” aktualności politycznej Gracjana, jako że jeden umyślił stworzyć żeni „Brewiarz Dyplomatyczny”, a drugi zaś przed laty parą się tym — kunsztem raczej niż zawodem!

Wydanie prof. Łośa nie jest bibliofilskim. Te względy zatem nie wchodzi przy porównywaniu obu edycji w ogóle w rachubę, podobnie jak i nie leżało w intencji, a raczej zdaje się możliwości lubelskiego wydawcy wyposażać swą edycję w całą aparaturę naukowo-pomocniczą. P. Gajewicz był pod tym względem, z uwagi na możliwość korzystania z bibliotek paryskich w bezkonkurencyjnej sytuacji. Prof. Łoś zadowolnił się tylko położeniem nacisku na wartość poprawnego tłumaczenia, opierając się w znacznej mierze na oryginalne hiszpańskie i posiłkując tłumaczeniami polskimi, francuskimi i niemieckimi, i to nie w sensie literalnym, ale udostępnienia jak najliczniejszemu rzeszom czytelników, tych prostych i mądrych maksym życiowych, jakie stanowią ów wielki walor dzieła Gracjana. Rzeczywiście czytając tekst prof. Łośa, o którym tłumacz od razu w przedmowie uprzedza czytelnika, że nie jest dostojnym, uderza nas piękny, jasny styl, tak bardzo ważny, przy tego rodzaju typie literackim gdzie jasność wyrażonej myśli jest pierwszorzędnym

*) Baltazar Gracjan „Brewiarz Dyplomatyczny”, z 3-go wyd. francuskiego (1692) z przypisami A. M. Amelot de la Houssaie sekretarza Ambasady Francuskiej w Wenecji — przełożył, wstępem i końcowymi przypisami opatrzył Bohdan Gajewicz. Paryż 1949; str. 343 + 5 ilustr.

**) Baltazar Gracjan „Wyrocznia Podręczna” (Oraculo Manual), przetłumaczył i wstępem zaopatrzył Stanisław Łoś. Lublin 1949, str. 126. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Seria Źródła i Monografii nr 43, Aleje Racławickie 14.

MAREK ANTONI WASILEWSKI

OSTATNI LOT

Widzę twoje oczy i widzę samolot

Jak czarny krzyż w powietrzu nad morzem rozpięty

I bródzę zatroskania, którą na twym czole

Ból zmarszczył niczym wodę za mknącym okrętem.

Generale, cień ziemi tam w dole, to Malta,

Zegnaj ją ruchem ręki żołnierskim i prostym

Nim cię przestrzeń pochłonie jak paszcza rozwartą,

Zegnaj Malte, jak kiedyś pożegnałeś Polskę.

Motory, hej motory dzwiczące rozgłośnie!

Bijcie równo jak tętno w sercu generała,

Które pod mundurem całą Polską rośnie,

Serce „co póki było dopóty kochało.

Generale, czemu nie unosisz głowy?

Jakże srebrne się zdają twoje skronie siwe!

W dole smuga pary, to okręt liniowy

Pasmem dymu, jak czarnym welonem Ci kiwa.

Hej, żalośnie gracie wirujące śmigła!

Jakby Padarewski nocturn grał Chopina...

Generale, salutuj — bo przecież już nigdy

Nie zobaczysz Wawelu i parku w Łazienkach.

Generale, salutuj — został dzień nie cały,

Ale cała miłość, wieczna, niezatarta,

Jak wieczna będzie Polska w płomieniu twej chwały,

Generale, salutuj — na dole Gibraltar!

zagadnieniem i zaletą. Jest rzeczą trudną porównywać wartość obu tłumaczeń. Oba są na poziomie i oba wyrażają w sposób dostatecznie jasny myśl autora. Można przyjąć, że adaggio włoskie „traduttore — traditore“, nie ma tutaj zastosowania. A to jest obok poprawnej formy literackiej najważniejsze.

Aby czytelnika wprowadzić w „wiek i klimat“ Baltazara Gracjana poprzedził prof. Łoś swe tłumaczenie świetnym wstępem, w którym poza zwięzłą biografią i charakterystyką literacką dzieł Gracjana, wprowadza nas w stosunki i klimat Hiszpanii w pierwszej połowie XVII wieku. Czasy to bardzo ciekawe, gdy środkowa Europa, jest w ogniu Wojny Trzydziestoletniej, kiedy Polska pod Zygmuntem Wazą i na początku panowania Władysława IV przeżywa swój wiek dobrobytu, ostatnie lata przed zbliżającą się nawałą klęsk wojennych. Na półwyspie pirenejskim życie państwa płynęło tym samym spokojnym i zrównoważonym nurtem co przed wielu dziesiątkami lat. Prof. Łoś dając jasne syntetyczne ujęcie, pozwala czytelnikowi wczuć się w atmosferę jaka panowała wówczas w Hiszpanii, a tym samym lepiej zrozumieć Gracjana, który wiele lat swego życia spędził przy i na Dworze Królewskim, mając doskonałą sposobność wzięcia się w tajniki i arkaana sztuki rządzenia ogromną światową monarchią hiszpańską. Przeczytawszy tę introdukcję zyskujemy niejako sztafaż do należytego wczucia się w dzieło Gracjana, bo pod każdą sentencją, pod każde zdanie, pod każdą nieomal myśl, możemy imaginacyjnie podstawić jakowąś rzeczywistą sytuację, jaką realny obraz, jaką kwestię przeżyta i przemyślana, które faktycznie miały miejsce, a które stały się potem impulsem do ujęcia nauki z niej wypływającej w formę mądrej sentencji pobudzającej do dłuższego i poważnego rozważenia. Ten wstęp prof. Łośa jest już sam dla siebie „czyms“ co warto przeczytać i co pociąga oraz fascynuje. Wprowadziwszy czytelnika w krajobraz w jakim się rozgrywa „Wyroczenia“, prof. Łoś pozostawia go samego, twarzą w twarz z autorem i każe mu już samemu czytać, rozważać i przemyślać nad tym co „Wyroczenia“ mu daje. P. Gajewicz wyposaża czytelnika w jego wędrowce po gąszczu myśli autora w obfity aparat pomocniczy komentarzy i wyjaśnień, co niewątpliwie ułatwia orientację. Prof. Łoś metodą indukcji każe czytelnikowi samemu podążać mozolnie, acz pewnie do prawdy.

Czytając i rozmyślając nad treścią sentencji Gracjana, można samemu bez sugestii postronnych, ocenić ile głębokiej życiowej mądrości mieści się w nich i jak należy do nich podchodzić. Boć autor w swym chłodnym i trzeźwym obiektywizmie nie musi ferować zawsze nieomyłne sądy. Zarzucają Gracjanowi nawet cynizm niezgodny z chrześcijańską zasadą miłości bliźniego; że w jego tezach znajdują się wypowiedzi niezgodne z zasadami etyki i moralności chrześcijańskiej, że innymi słowy myśli Gracjana wchodzą w kolizję z doktryną Kościoła. Ale tacy interpretatorzy gracjanowych myśli przypominają częstokroć ludzi, którzy obserwując świat przez małą szparkę swego okienka, nie są zdolni ogarnąć całości i głosić będą z uporem, iż wygląda on tak tylko, jak oni go widzą w swym mikroskopijnym polu widzenia... Jeśli oceniać będziemy Gracjana w całokształcie jego myśli, to wówczas obraz wypadnie zupełnie inaczej. Ujrzymy wówczas, że zakonnik Gracjan jeżeli daje tu i ówdzie rady będące wynikiem wielkiego doświadczenia życiowego i bacnej obserwacji, a które

mają dźwięk zbyt „świecki“ to jednak ostrzega czytelnika, (Maksyma 104) że „najgorszą jest taka praca, po której wykonaniu trzeba zdawać rachunek przed surowymi sędziami. Zwłaszcza, gdy sędzią jest Bóg“.

Albo skoro ukazują nam wzniosły obraz: „Gdy pierwsza i najwyższa Przyczyna Wszelkich wielkim swym planem żywy kształt chce nadać, nie waha się do serc ludzkich kołać i odpowiednio ją przysposabia“ (Maksyma 112). Kończąc zaś swe dzieło stwierdza Gracjan (Maksyma 300), mówiąc tymi słowami, że wszystko co napisał i do zastosowania w życiu zalecał, musi w swym finale skryształizować się w tej szczytnej zasadzie.

Moralisci, którzy wyłowili ten lub inny passus z sentencji chcieli by na tej podstawie sądzić oderwanie o wartości dzieła autora, znaleźli by się w pozycji sędziego, który powołany do wydania wyroku, oparł się na jednej godzinie życia człowieka, a całą długą resztę oszczędził lat i koniec sam życia oszczędził „per non est“. Innymi słowami Gracjan sam nakazuje aby jego wskazówki tak stosować w życiu by pozostawiało ono zawsze w zgodzie z zasadą świętobliwości, którą do praktykowania tak kategorycznie zaleca.

Cokolwiek czynisz, czyni roztropnie i bacz na koniec, powiada łacińskie przysłowie. Gracjan w tym końcu daje całą syntezę swych wywodów i wyraźnie staje na gruncie doktryny chrześcijańskiej.

Ciekawym jest, że ów Hiszpanzakkonnik, który „mili kraju nigdy nie wyjechał“ z półwyspu Iberyjskiego, w swej symbolicznej powieści „El Criticon“ opisuje napotkane we Włoszech zgrupowanie przetrzebionych narodowości, jakichś łazików i hulajduszy z całego świata i podaje charakterystykę każdej z nich, po czym pisze o pewnej dalszej grupie:

„Cechuje ich głupia dobroć, wszyscy uważają ich za dobroduszych pacyfistów. „To poczciwiec — prochu nie użył“ mówi się o takim. Stałe umiędniczenie nie zamąca wody nikomu, nikomu się nie przeciwstawia i każdy ich nabiera. Dobrzy usłuźni koledzy gotowi wszystko zrobić dla towarzystwa, łatwomierni, dający wciąż „słowo honoru“. Zadowoleni z siebie, ze swego sposobu bycia i wzorowych obyczajów, które innym chcieliby narzucać. Lecz co by się stało ze światem, gdyby istotnie zaczęli ich naśladować. Nigdy się nie śpieszą, gotowi zaciągnąć się na każdą służbę, każdemu gotowi podać prawą rękę, wrogowi nawet nie odmówią lewej. Nikomu niczego nie odmówią, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. Na wszystko odpowiadają „Tak jest — amen“. Ludzie dobrze zbudowani i długowieczni... W każdym razie tak prości, nieskomplikowani, jakby już żyć przestali. Dobrze im z tym, dobrze się czują, mają wspaniałe żołądki, które wszystko trawia. Marzą tylko o tym, żeby utyć i wszystkim dookoła dają żyć w spokoju. Ich sposób bycia jest szczery, otwarty, bez wykrętów. Mówią jasno i unikają sztuczności. Serce mają na ustach, nie ma wśród nich krętaczy i dworaków.“

Otóż to tak scharakteryzowane grono, składa się — jak się dalej dowiadujemy z kilku Francuzów i mnóstwa Polaków! Bagatela rzecz można! Widać, że Gracjan dobrze scharakteryzował naszych przodków.

Czy ta charakterystyka Polaków była oparta na autopsji? O Gracjanie nie wiemy, że nie podróżował nigdzie poza swym rodzinnym krajem, ale widać, że w pierwszej połowie XVII

wieku musiało sporo Polaków docierać za Pireneje, skoro pozwoliło to autorowi na podpatrzenie ciekawych cech narodowych polskich. Były to czasy Wojny Trzydziestoletniej, może jakieś obieżyświaty, żądne świata i przygód, jacyś waganci po-Lisowszczykowski docierali aż do tej odległej od Polski części Europy. A może też i oficjalni przedstawiciele Polski na Dworze Hiszpańskim dostarczyli prototypów Gracjanowi, który z tytułu swego stanowiska na nadwornego teologa a może i swej osobistej pozycji mógł się z nimi zetknąć. Co prawda w okresie wieku Gracjana (1601—1658 r.) trzy razy tylko docierali Posłowie Rzeczypospolitej do Madrytu na Dwór Hiszpański. W roku 1623 przybył tamże Stanisław Makowski, Kantor Władysławski, Opat w Lubiniu, który ponownie zjawił się w Madrycie w 1634 r. Jego misję spowodowane były sprawą tzw. Sum Neapolitańskich, czyli wielkich kwot pożyczonych za czasów Królowej Bony Królestwu Neapolitańskiemu przez Polskę i nigdy nie zwróconych. Ponieważ Królestwo Neapolu, było podówczas złączone z Hiszpanią, więc akcja rewidacyjna tych sum, musiała być negocjowana zarówno w Neapolu, jak i w Madrycie. Powtórna misja Makowskiego w 1634 r. mogła pozostawać również w związku z notyfikacją wstąpienia na tron w 1633 r. Króla Władysława IV. W 11 lat później zjawił się nowy wysłannik polski Margrabia Franciszek Bibboni Podkomorzy Królewski, najwidoczniej Włoch, może on również usiłował wywindykować coś ze sum Królowej Bony. Ot całe dyplomatyczne przedstawicielstwo Polski, które w ciągu trzech ćwierci XVII wieku reprezentowało nasz kraj na Dworze potężnej monarchii hiszpańskiej. Czy pierwszy z tych posłów, lub ktoś z orszaku obu wysłanników dyplomatycznych, dostarczyli prototypów Gracjanowi, czy też miał inne jeszcze modele Polaków siedemnastowiecznych? Nie jest nam nic wiadomym. Faktem pozostanie, że pomiędzy rokiem 1577 a 1674 jedynie ci dwaj wyżej wymienieni dyplomaci zjawili się w imieniu Rzeczypospolitej w stolicy najpotężniejszego wówczas państwa na świecie, które ze swą niezwykłą armią, ze znakomitą dyplomacją, ze złotem, które napływało z posiadłości zamorskich, z całym bujnym rozwojem myśli, literatury i sztuki w osobach Cervantesa, Lope de Vegi, Suarezza, Calderona, Velasqueza błyszczało i promieniowało na cały podówczas dostępny i znany świat. Przypuszczać należy, że inni rycerze przygód dostarczyli Gracjanowi typów, na podstawie których scharakteryzował on ówczesnych Polaków. Niemniej jednak, nie rozstrzygając w jakim stopniu uczynił to trafnie a w jakim odbiegł od rzeczywistości, stwierdzić wypada, że był on nie tylko wielkim głosicielem prawdy (jak to napisano pod jego portretem zawieszonym w Kolegiun w Catalayud) jako myśliciel i moralista, ale również wnikliwym i bystrym obserwatorem — psychologiem.

Nowe wydanie Gracjana po polsku w dwóch niezależnych od siebie edycjach, jest w sensie literackim wydarzeniem oraz pożytecznym zbiegiem okoliczności.

Surowi dogmatycy-moralisci, którzy chcieliby w Gracjanie doszukiwać się innych tendencji i odmiennych laickich zamiarów, mogą zbyt łatwo znaleźć się w owej ewangelicznej figurze człowieka, dostrzegającego źdźbło w oku bliźniego a będącego ciemnym na tram alias belkę w swym własnym. Szybkie przejście się obu wydań Gracjana, będzie niewątpliwie zachętą dla obu wydawców do dalszych jeszcze liczących nakładów.

Quidam.

Humanizm a łaska

ciąg dalszy ze str. 2

JEŻELI chodzi o biologizm, to zostaje on w Europie coraz bardziej zwyciężony, nie wytrzymuje bowiem konfrontacji z osiągnięciami współczesnej wiedzy. Między psychiką zwierzęcą a ludzką istnieją różnice jakościowe, a zdolność do myślenia refleksyjnego wydaje się właściwą jedynie i wyłącznie człowiekowi. Na marginesie można też zauważyć, że mechanistyczne i biologizyczne teorie psychiki ludzkiej zostały również od dawna odrzucone przez psychologię marksistowską.

Jakie zatem wnioski można wywodzić, jeżeli chodzi o stosunek nauk przyrodniczych do zagadnienia zasadniczego, t. j. zagadnienia transcendencji?

Profesor biologii na Sorbonie Paryskiej — Mangenot konkluduje:

„Nauki przyrodnicze są bezsilne wobec tajemnicy stojącej na początku wszechrzeczy. Ograniczają się tylko do badania tajemnic zamkniętych w samych rzeczach. Nie w nich więc należy szukać zagadki naszego początku i losu.“

DETERMINIZM PSYCHICZNY A ZBAWIENIE

Dalsze referaty i dyskusje rzucają ciekawe światło na problem determinizmu psychicznego. Reprezentowane stanowiska występują przeciwko formalistycznej interpretacji praw rozwoju psychicznego, która prowadzi do abstrakcyjnej, niezgodnej z istotną rzeczywistością koncepcją człowieka. Trzeba zwrócić uwagę, że zagadnienie to stanowi jeden z głównych punktów zainteresowania psychologii marksistowskiej i jeden z najgłośniejszych zarzutów stawianych przez nią psychologii zachodnio-europejskiej.

Pierre Mesnard, profesor Uniwersytetu w Algierze, zaleca jako „odtrutkę“ na ów prymat abstrakcji nad konkretem powrót do realizmu i obiektywizmu, powrót do św. Tomasza z Akwinu i św. Jana od Krzyża *Dla chrześcijanina bowiem istotniejsze od wszystkich spekulacji nad psychiką i charakterem człowieka jest i być powinno, jak w sposób pełny i konkretny może on zrealizować swój los, swoje życie i zbawienie.* Stąd wysuwa się w stosunku do psychologii postulat, aby była wiedzą związaną z konkretnym życiem i konkretnym człowiekiem tak, aby jej badania i wyniki umożliwiały kształcenie charakteru, a nie jedynie wyznaczały granice i możliwości jego rozwoju. Interpretacja praw istniejących w psychologii, a dotyczących rozwoju psychiki człowieka nie może i nie powinna w żadnym wypadku prowadzić do fatalizmu. Prawa te wyznaczają w pewien sposób strukturę charakteru człowieka, ale nie przesądzają o niej, nadają kierunek ale go nie determinują całkowicie. Każdy człowiek posiada indywidualny dynamizm psychiczny, który jest ręką jego wolności. Istnienie tej wolności właśnie zapewnia każdemu człowiekowi, nawet jeśli jego dyspozycje psychiczne są ograniczone, możliwość zrealizowania swego zbawienia. „Nie istnieje — stwierdza stanowczo prof. Mesnard — żadna dysproporcja pomiędzy posiadaniem takich, czy innych dyspozycji psychicznych, a możliwością osiągnięcia zależnych jedynie od woli jednostki i od pomocy Łaski“.

Zagadnienie to zostało jeszcze dokładniej sprecyzowane, jakkolwiek także z całkowitym wyeliminowaniem problemu wpływu i uwarunkowania środowiska społecznego, przez

O. Beirnaert'a w referacie pt.: Psychoanaliza a punkt widzenia teologa. Opierając się na przesłankach psychoanalizy można sądzić, że świętość może być jedynie udziałem niektórych, zależna jest bowiem od predyspozycji psychicznych. Takie stanowisko sprzeczne jest z nauką Kościoła. *Zbawienie realizuje się poprzez związek natury, wolności i łaski.* Żaden z tych elementów nie wyklucza pozostałego, ale żaden z dwu pierwszych niczego nie determinuje. *Wolność działa na naturę poprzez łaskę. Świętość jest celem, do którego dąży człowiek poprzez rozwój i rozkwit własnej osobowości, czyli poprzez świadome urabianie własnej natury przy pomocy łaski.*

ŚWIĘTOŚĆ A BOHATERSTWO

Szereg współczesnych prądów kładzie nacisk na transcendencję świętości chrześcijańskiej, na to w jakim stopniu jest ona darem Boga. Interesujące jest zestawienie pojęcia świętości i bohaterstwa. Zagadnieniu temu zostały poświęcone dwa referaty.

Zarówno świętość jak i bohaterstwo przekracza normy powszechnej moralności, jednakże bohaterstwo jest porządku naturalnego, podczas gdy świętość porządku wiecznego.

„Jeżeli — mówi Andre Rousseaux, znany francuski krytyk literacki — traktujemy bohatera i świętego jako zaangażowanych w dwa rodzaje przygód, to przygoda bohatera będzie przygodą w czasie, przygoda świętego — przygodą w wieczności“.

Nieistotne natomiast wydaje się przeciwstawianie różnic psychicznych bohatera i świętego. Pierwszego ma jakoby wyznaczać akcja, działanie, drugiego — kontemplacja. Prof. Simon z Fryburga zwraca uwagę, że w równym stopniu może istnieć heroizm myśli, jak cnoty aktywne u świętego. Wedle Bergsona nawet sam mistycyzm jest działaniem. Najistotniejszą różnicą między bohaterstwem a świętością jest to, że pierwsze jest apoteozą natury, a druga — triumfem łaski. I właśnie w dialogu między świętym a bohaterem spoczywa cały problem humanizmu chrześcijańskiego — podkreśla prof. Simon.

Ideał bohatera realizuje się w harmonii piękna i dobra, istniejącego w nim samego, ideał świętego — poprzez działanie łaski na nierządno chorą i ułomną naturę ludzką. W konkluzji prof. Simon stwierdza, że istotniejsze jest raczej podkreślanie jedności humanizmu i łaski poprzez zwrócenie się do chrześcijaństwa podnoszącego na same szczyty naturę człowieka. Przez zwrócenie się do Chrystusa Triumfującego w Wielkiej Nocy, a nie przeciwstawianie humanizmu i łaski, jakkolwiek oczywiście nie wolno zapominać o Chrystusie cierpiącym i Kalwarii. Prof. Simon powołuje się na Karola Peguy, który najlepiej umiał pogodzić bohatera i świętego, dowodząc, że bohaterstwo i świętość krzyżują się nawzajem: „jest to zakorzenienie się duchowego w cielesne, wiecznego w czasowe“.

KOLEKTYW A JEDNOSTKA

Rozwój struktur socjalnych a zagadnienie rozwoju osobowości indywidualnej stanowi jeden z najbardziej aktualnych problemów.

(dokończenie na str. 12-tej)

* KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI *

WZNOWIENIA

„GULLIWER“ OPUSZCZA POKÓJ DZIECINNY?

Jednym z ciekawszych paradoksów w dziejach literatury światowej jest fakt, że trzy najsłynniej czytane przez młodzież książki — „Don Kichot“, „Robinson Crusoe“ i „Podróże Gulliwera“ — w koncepcji ich twórców bynajmniej nie dla młodzieży były przeznaczone. Fantastyczność opisów i niecodziennosc wydarzeń, przedstawione w tych dziełach, były barwna przykrywką, pod którą kryła się zjadliwa satyra na obyczajowość, bądź też ostrą krytyką stosunków polityczno-społecznych.

Nie więc też dziwnego, że kiedy w roku 1726 Jonathan Swift, baczny obserwator swojej epoki, duchowny i pisarz w jednej osobie wydał drukiem „Podróże Gulliwera“, gruba księga fantastycznych przygód, która kryła w sobie całym nie fantastyczne i nie wymaginowane, natomiast bardzo ostre i gorzkie uwagi pod adresem ówczesnej rzeczywistości angielskiej — z jednej strony zyskał sobie wielką poczytność i popularność, z drugiej jednak — porzucił się w opinii urażonych do głębi dworaków, sędziów i innych różnego kalibru dwignitarzy.

I tak, przeżywszy swego twórcę, ruszył „Gulliwera“ w podróż po czasie, uskrzydłany wzrastającą liczbą zwolenników, a równocześnie krenowany i pomniejszany przez kolejnych wydawców i tłumaczy, inspirowanych przez nieśmiertelnego legion świętoszków, hipokrytów i innych niepowołanych stróżów moralności publicznej — aby wreszcie wylądować w pokoju dzieciennym.

Leży przede mną dziesiąte wydanie „Przygód Gulliwera“ — dla młodzieży — w tłumaczeniu C. Niewiadomskiej*). Będzie oczywiście cieszyło się takim samym powodzeniem wśród młodocianych czytelników, jak i dziewięć poprzednich wydań, które ukazały się na przestrzeni lat 50-ciu od roku 1899 począwszy. Książka ta będzie się cieszyła powodzeniem, mimo iż ilustracje nie są liczne co w książce dla młodzieży jest poważnym mankamentem. Będzie się cieszyła powodzeniem, mimo że w stosunku do pierwowzoru zatraciła niemal cały swój ładunek

emocjonalny — historyczny — obyczajowy — na korzyść elementów baśniowości.

Ale oto znalazł się w Polsce człowiek, który stosując marksistowską metodę badań literackich, postanowił wyprowadzić „Gulliwera“ z dziecinnego pokoju i przywrócić dziełu Jonathana Swifta jego pierwotną powagę i ciężar gatunkowy. Eksperyment okazał się interesujący.

Jan Kott sięgnął do anonimowego tłumaczenia z XVIII wieku, które obejmowało pozostałe części książki, przejrzał je, wypolerował, opatrzył świetnymi ilustracjami Grandville'a i tak wydał „Podróże Gulliwera“ — dla dorosłych. Duch Jonathana Swifta, unosząc się nad Kottem, błogosławił zapewne jego dzieło, jako że znów na światło dzienne wyszły wszystkie ciemne strony współczesnej Swiftowi rzeczywistości angielskiej.

Znów mamy potężną satyrę na ułomności ducha ludzkiego, podkreślona szczególnie wyraziście w opisie kraju mądrych koni i potwornych ludzi-Jabusów, których „człowieczeństwo“ stanowi syntezę tego, co niesłusznie nosi nazwę „zwierzeczenia“. Zwierze bowiem — obdarzone instynktem — jest tylko posłuszne prawom natury, człowiek natomiast, posiadający rozum, jeśli niewłaściwie go używa, potrafi być niebezpieczniejszy niż wszystkie dzikie bestie razem wzięte.

Zreszta praca Kotta — odkrywcy „Gulliwera“ dla dorosłych — zasługuje na bardziej szczegółowe omówienie.

Faktem jest, że „Podróże Gulliwera“ uległy rozdwojeniu i obok „skróconych i skastro- wanych“ — jak kaśliwie wyraża się Kott, wydań młodzieżowych, ukazało się wydanie krytyczne.

Zachodzi pytanie, czy należy wszystkie wydania „młodzieżowe“ zniszczyć i wziąć młodzieży opracowanie Kotta, jako najbliższe oryginałowi? Chyba nie.

Dajmy młodzieży Niewiadomską. Po Kotta, w miarę rozwoju poczucia krytycyzmu, młodzież sięgnie sama.

G. K.
*) Jonathan Swift: „Podróże Gulliwera“, przekł. C. Niewiadomskiej. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1949, str. 303.

mimo swej ogromnej erudycji prowadzi życie jakiegoś robaka, przerażające swą przeciętnością.

Jednym słowem: wspaniały rzut oka na schyłek XIX w., wygodny, spokojny i bezna-

deiczny, w którym jednak dojrzał gniew katolickiego teściela mieszczańskiej stagnacji i relatywizmu — Leona Bloy.

Przekład — ogólnie biorąc — poprawny.

J. Z.

P O W I E Ś C I

POWIEŚĆ O PASTEURZE

Książka Olgi Kuźniecovej „Wróg pod mikroskopem“*) doczekała się w Polsce w przeciągu krótkiego czasu — dużego (100.000) nakładu. Bo też książka warta jest tego. W umiejętnie zbeletyzowanej formie ukazuje nam życie, jednego z największych przyrodników świata i prawdziwych dobroczyńców ludzkości — Ludwika Pasteur'a. Życie — ukazane od najprawdziwszej strony, takie jakie ono było w rzeczywistości, pełne ciężkich sytuacji, ale też nie pozbawione momentów prawdziwego humoru. Dobrze, że autorka często (ale nie za często) cytuje fragmenty listów i pism Pasteura, co przyczynia się w znacznej mierze do bezpośredniości w opisie, i pozwala u-

chwycić charakterystyczne cechy Pasteur'a, i ujrzeć sylwetkę uczonego, przez pryzmat jego własnych przeżyć, sukcesów i niepowodzeń.

Książka Olgi Kuźniecovej godna naprawdę przeczytania. Autorka z dyskretnym umiarem potrafiła wpleść w tok literackiej opowieści momenty zawierające znaczny ładunek dydaktyczny. Bardzo przystępnie i ciekawie wprowadza czytelnika w tajniki chemii i biologii, nauk nierozłącznie związanych z sylwetką Pasteur'a.

RAW

*) Olga Kuźniecowa: Wróg pod mikroskopem. „Książka i Wiedza“, 1949, str. 242; przekł. Tad. Zabłudowskiego.

NICZYJAK — BOHATER- SKI WALEK

W ramach taniej, stużłotowej biblioteczki „Czytelnika“ ukazała się niedawno powieść Jana Kurczaba pt. „Niczyjak“*). Wysokość ceny świadczy już o przeznaczeniu tej książki, o jej adresie społecznym.

Fabula powieści rozsnuta dość prymitywnie. Biedny, włóczący się, bezdomny młody chłopiec, posiadający jednak duży zasób tzw. mądrości życiowej, zostaje przyjęty przez tak jak on uboga gospodynię wiejską. Chłopiec okazuje się nadzwyczaj przedsiębiorczy, energiczny, wydobywa swą przybraną opiekunkę z nędzy materialnej. Ale los się wkrótce odwraca. Dostaje się do więzienia, gdzie styka się ze świadomymi komunistami. Idee zacierpięte od

nich krystalizują się. Chłopca wypuszczają z więzienia. Nie spoczywa jednak. Bierze czynny udział w przygotowaniach do strajku i demonstracji podczas której ginie.

Postać bohaterskiego chłopca — Waleka jest przez autora najbardziej sugestywnie przedstawiona. Natomiast inne postacie powieści są sztuczne, zupełnie nie przemawiają do czytelnika, nikt, słabo zarysowane.

Akeja książki Kurczaba mogłaby przebiegać żywiej, ciekawiej, do wykorzystania było, jak to wynika z przytoczonej wyżej treści, wiele naprawdę ciekawych momentów. Zaletą książki, zważywszy jej przeznaczenie, jest prosty, nie silący się na wyszukane zwroty i porównania język.

RAW

*) Jan Kurczab: Niczyjak. Czytelnik 1949, str. 367.

E S S A Y E

WSPOMNIENIE O SZYMANOWSKIM

Drugi raz już popelniam grubą recenzencką nieprzyzwołość recenzując książkę dość już dawno temu wydaną, ale wspomnienia Jarosława Iwaszkiewicza „Spotkania z Szymanowskim“*) zasługują na spóźnione nawet omówienie.

Wydawcy nazwali książkę Iwaszkiewicza „Materiałami do biografii Szymanowskiego“. Wydaje mi się, że ta sucha nota wydawnictwa uwłaszcza nieco randze książki. Bo Iwaszkiewicz — być może bez określonego zamiaru — stworzył książkę, która — mimo iż nie jest biografią Szymanowskiego — ukazuje czytelnikowi postać twórcy „Harnasiów“ w sposób bardzo pełny, „żywy“, udany, bezpośredni, przekonujący. Czytelnik na podstawie książki umie sobie Szymanowskiego wyobrazić (nie chodzi tu o fizjognomię, rzecz oczywista, ale o „sylwetkę duchową“). Iwaszkiewicz daje nam mistrzowski portret Szymanowskiego, interesujący obraz jego rodziny, otoczenia a nawet — jego czasów („secesja“).

bezpieczeństwa, jak „przesłanie“ tematu, zwłaszcza że zamiar sportretowania wybitnej postaci w historii naszej muzyki powiększał „pokusę“. I wydaje mi się, że jednym z największych walorów książki Iwaszkiewicza jest właśnie mistrzowski ominięcie tych łatwizn pisarskich: są w „Spotkaniach z Szymanowskim“ momenty dramatyczne — są i przykre, jak np. opis ostatniego spotkania Iwaszkiewicza z Szymanowskim, zmęczonego i zakończzonego nieporozumieniem.

„Spotkania z Szymanowskim“ postawiłem na półce obok książki Haliny M. Dobrowolskiej o Karolu Irzykow-

skim (która to książka wywołała wystąpienie Kisielewskiego — „Wspomnienie o klerku heroicznym“). Należy z ogromnym uznaniem podkreślić fakt ukazywania się na rynku wydawniczym takich ucieżki pisanych książek o najwybitniejszych twórcach naszej kultury (duże zasługi ma tu także Adam Grzymała-Siedlecki).

W. H.

*) Jarosław Iwaszkiewicz: „Spotkania z Szymanowskim“. Materiały do biografii Karola Szymanowskiego, t. I. Okładke proj. M. Makarewicz, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1947. Str. 148.

R E L I G I A

CENNA KSIĄŻKA O LITURGII

O tym jaką wagę przywiązuje Kościół Katolicki do liturgii świadczy choćby niedawna encyklika Piusa XII „Mediator Dei“. Jakże często sceptycyzm współczesnych ma swe źródło w niezrozumieniu roli i ducha liturgii. Z drugiej strony toż samo niezrozumienie, brak odczucia głębi, spokoju i umiaru obrzędów katolickich, może doprowadzić do drugiej skrajności, do egzaltowanych, czecznych w gruncie rzeczy, uniesień religijnych. Tymczasem liturgia nie jest tylko zewnętrznym objawem, liturgia przekazuje nam tradycję treści i istotę wiary, potencjał sił vitalnych, bo sama jest życiem i prawdą, pozwala wreszcie zrozumieć treść dogmatyczną tekstów kościelnych i być uczestnikami wspólnej modlitwy. Ale też, jak to wyżej wspomniałem — chcąc żyć liturgią, trzeba ją przede wszystkim zrozumieć, zgłębić jej sens, odszukać właściwe treści. Wielką pomocą będą tu książki liturgiczne. Niedawno ukazała się nakładem „Milicji Niepokalanej“ książka s. Renaty, niepokalanki, „Śladem tajemnic Chrystusowych“, objaśniająca treść i znaczenie świąt i ważniejszych niedzieli roku kościelnego. Ostatnio dla miłośników liturgii, i ludzi dążących do jej poznania wydawnictwo „Pallotinum“

zgotowało prawdziwą „ucztę duchową“, wydając przekład znanej książki O. Piusa Parsch'a „Rok liturgiczny“*) w orginale „Das Jalus des Heiles“. Już na podstawie pierwszego tomu czuje się, że ma-

szata graficzna książki, dobry papier i druk, oraz zreczenie pomysła kompozycja okładki „wprowadzającą niejako w nastrój“ książki, dzięki użyciu tradycyjnej symboliki liturgicznej (gotyk, winietki).

Na uwagę zasługuje również szata graficzna książki, dobry papier i druk, oraz zreczenie pomysła kompozycja okładki „wprowadzającą niejako w nastrój“ książki, dzięki użyciu tradycyjnej symboliki liturgicznej (gotyk, winietki).

Książka winna stać się cennym uzupełnieniem mszalików niedzielnych, lekturą katolików pragnących głębiej poznać ducha liturgii Kościoła, aby w myśl życzenia O. Piusa Parsch'a, przyczynić się do „duchowego zesolenia katolików z kultem liturgicznym, tym najcenniejszym skarbem odziedziczonym po przodkach naszych w wierze“.

R. A. W.

*) Pius Parsch: Rok liturgiczny, t. I. Przekład Zofii Dąbrowskiej. Str. 550. Pallotinum. Poznań 1950.

TRAFNY SYMBOL*)

Świętym, starym Anatol France! Nawet mniej wartościowe jego powieści (do których mimo licznych, odmiennych opinii zaliczam „Historię współczesną“ — wiążąca w głąb czytelnika, porwijąca swoim wirtuozyzmem pisarskim. Konsekwentny sceptyk, chodzący konglomerat światopoglądów, wnikliwy obserwator toczącej się wraz z nim współczesności, satyryk mieszczaństwa — nasyca swoje książki takim bogactwem refleksji, charakterystyk, złośliwych szpileczek, że przykwała ono czytelnika i nie pozwalała mu oderwać się od lektury. Jaką galerią postaci: doskonale profesor Bergeret, filozof, stoik, a poza tym typowy mieszczański piszący z detalami o morskiej podróży Eneasza, raz widząc morze na oczy; jego

*) Anatol France: „Historia Współczesna“, tom II „Mankin trzcinowy“, „Książka i Wiedza“, 1949 r.

Dzięki temu, dzięki tej pełnej wizji Szymanowskiego, książka Iwaszkiewicza jest cennym źródłem wiedzy o Szymanowskim, pomaga czytelnikowi zrozumieć wielkiego kompozytora. A więc „Spotkania z Szymanowskim“ — to nie biografia, ale udany portret literacki.

Nie potrzeba tu się oczywiście długo rozwodzić nad czynnikami składającymi się na wartość książki. Iwaszkiewicz znany jest jako jeden z największych w Polsce miłośników i znawców muzyki, znany jest także jako jeden z luminarzy polskiej literatury. To dwa właśnie czynniki — zrozumienie i umiłowanie muzyki oraz echujący pisarza głęboką, pełną szlachetności (choć nie nieomylną) stosunek do człowieka — złożyły się na ten przekonujący portret.

Warto tu również poświęcić kilka słów pewnemu „tematycznemu“ niebezpieczeństwu, którego Iwaszkiewicz szczęśliwie uniknął. Chodzi o to, że książka o czasach, tracących dziś myślkę, musi być pełna umiaru i artystycznego taktu. Nie ma bowiem większego nie-

NOWOŚĆ

Ks. Prof. Eugeniusz Dąbrowski

PROBLEMAT CHRYSUSA

we

współczesnej literaturze katolickiej

PALLOTINUM

Poznań

1950

Cena 21 00

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

W Warszawie

Doniosłym wydarzeniem kulturalnym ostatnich tygodni było przyjęcie przez Sejm RP ustawy o powszechnej elektryfikacji wsi, jako że zelektryfikowanie wsi jest podstawowym warunkiem pogłębiania i poszerzania się wiejskiego czytelnictwa, jak i ogólnego wzrostu cywilizacyjnego. Od Wyzwolenia do 1949 r. zelektryfikowano 11.456 gromad i osiedli co stanowi dwa razy więcej niż zelektryfikowano w całym okresie przedwojennym i wojennym. W wielu jednak zelektryfikowanych gromadach znaczny procent biedniejszego chłopstwa obywa się jeszcze bez elektryczności. Plan sześcioletni przewiduje do-elektryfikację tych gromad. Plany elektryfikacyjne opracowywane będą przez czynnik fachowy — zatwierdzone przez Prezydium Rad Narodowych. Rząd zwiększy swą pomoc w elektryfikacji wsi; 62% kosztów właściwych elektryfikacji każdej gromady pokrywa Państwo, resztę — sami chłopcy, przyczem spłaty rozłożone będą na trzy lata ze zróżnicowaniem rat, w zależności od stopnia zamożności każdego chłopca.

Warszawa liczy już 658.986 mieszkańców, wykazując stałą tendencję wzrostu.

Z inicjatywy Związku Harcerstwa Polskiego urządzona została wystawa p. n. „Walka o pokój w rysunkach dzieci“. Jest to wynik konkursu rozpisanego w szkołach, wśród dzieci 7 — 15 letnich. Wystawiono kilkadziesiąt prac dziecięcych. Tematycznie rysunki obejmują wachlarz nader szeroki tematów: od rysunków o tematyce międzynarodowego braterstwa do rysunków ilustrujących pracę codzienną dzieci i rodziców. Technika wykonania: ołówek, kredka, farby wodne. Dzieci w swym malarstwie są realistami, rysunek jest zawsze tematyczny. Dla osób interesujących się pedagogiką i plastyką wystawa jest bardzo interesująca. Podobne inicjatywy gromadzenia rysunków dziecięcych podejmowane już w Polsce po wojnie były kilkakrotnie (pierwsza inicjatywa „Przekroju“) zawsze dając rezultaty godne uwagi. Czas pomyśleć o solidnym wydawnictwie monografii dziecięcego rysunku współczesnego. Pod tym względem zostaliśmy wyprzedzeni przez zagranicę.

Doznała wystawa została zorganizowana przez Polskie Radio w Warszawie. „Radio w przedszkolu“. 2000 spośród 7500 przedszkoli w Polsce ma już radio. W Pianie Sześciolatniem zrادیofonizowane będą pozostałe przedszkola. Wystawa „Radio w przedszkolu“, w znakomity plastycznie sposób, poucza w jak najbardziej właściwy sposób wykorzystywać należy radio w pracach wychowawczych i w zabawach przedszkola.

Kompozytor Panufnik, rzeźbiarz Strykowski, aktor Kreczmar, filmowiec Dreyerowa, oraz krytyk literacki Ziolkowski — złożyli na publicznym wspólnym odczycie w sali Warszawskiej Filharmonii sprawozdanie z pobytu polskiej delegacji pracowników kultury w ZSRR. Obecnie w ZSRR bawi grupa polskich architektów.

W wieku 74 lat zmarł Jan Michalski, znany polonista i bibliofil. Swoją bogatą 30.000 tomów liczącą bibliotekę zmarły ofiarował Instytutowi Badań Literackich w Warszawie.

Między Polską a Węgrami podpisany został nowy plan wymiany kulturalnej przewidujący poszerzenie dotychczasowego zakresu prac na tym odcinku. Oczekujemy więc zwiększonego importu filmów węgierskich (które się nam na ogół bardzo podobają), większej ilości sztuk teatralnych (sądząc po „Sprawie Pawła Eszteraga“ są one ciekawe) oraz tłumaczeń z węgierskiej literatury współczesnej, którą wypatrujemy (poza bardzo dobrym „Ablem w Puszczy“ — ale kiedy to było!) jak dotąd bezskutecznie. Liczymy też na to, że książki pisarzy polskich zawędrują na Węgry.

„Dobry człowiek“ 25-letniego pisarza Krzysztofa Gruszczyńskiego — jako pierwsza sztuka Festiwalu Współczesnej Polskiej Dramaturgii — wystawiony został w stołecznym „Teatrze Kameralnym“. Sztuka, mimo swych scenicznych słabości, wywołała ogromne zainteresowanie, ujawnione m. in. publiczną dyskusją odbytą natychmiast po prapremierze, w której wzięło udział kilkunastu pisarzy polskich i osoby z publiczności.

Cyrk nr. 1 — państwowy — zaprezentował Warszawie program odbiegający od dotychczasowej praktyki cyrkowej. Program ten ułożony przez dwóch komediopisarzy Gozdawę i Stępnia, zawiera teksty literackie, reżyserowany jest przez reżysera teatralnego Kaz. Pawłowskiego. I choć opinie o przedstawieniu są rozmaite i obok entuzjastycznych też i mało pochlebne, wydaje się, że przyjęty kierunek jest właściwym i słusznym dla dalszego rozwoju sztuki cyrkowej.

Ukazała się w sprzedaży książka dawno oczekiwana powieść Grahama Greena p. t. „Sedno sprawy“ (wyd. Pax). Książka ta wywołała w Wielkiej Brytanii ogromną dyskusję, część katolików uznała ją za najwybitniejszą powieść katolicką dzisiejszych czasów.

Ukazała się nowa książka Jana Dobraczyńskiego. Zbiór opowiadań p. t. „Największa miłość“ — wyd. „Pax“. Jednocześnie „Tygodnik Powszechny“ ogłosił pierwszy fragment nowej powieści Dobraczyńskiego „Złota kruczata“.

Ukazał się drugi tom znanej powieści autobiograficznej Lucjana Rudnickiego p. t. „Stare i Nowe“. Oba tomy wydane zostały obecnie — poza edycją oddzielną — również w luksusowej edycji łącznej.

„Instytut Zachodni“ wydał dwie nowe interesujące i wartościowe pozycje: Janusza Deresiewicza „Okupacja niemiecka na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy 1939—1945“ — obszerna, 600 stronicowa, studium historyczno-gospodarcze, zawierające całość zagadnień okupacyjnych tak zwanych „Warthelandu“. Druga pozycja to Studium Andrzeja Bukowskiego „Regionalizm Kaszubski“ — doskonały zarys monografii historycznej o kaszubskim ruchu naukowym, literackim i kulturalnym. Książ-

ka, której brak odczuwano dotychczas.

W Warszawie znajduje się jedyna w Europie Szkoła Dramatyczna Teatru Lalek. Istnieje dwa lata. Wiek uczniów

W Kraju

W Łodzi zmarł Sergiusz Hensen, naukowiec-pedagog, profesor pedagogiki na uniwersytecie łódzkim.

W miejscowości Lutomiersk pod Łodzią odkryto wielkie cmentarzysko wczesnodziejowe, największe tego rodzaju ze znanych na terenie Polski. Dotychczas zbadano 120 grobów bogato wyposażonych w broń i sprzęt jeździecki o elementach wareso-ruskich. O obcym pochodzeniu wojowników spoczywających w grobach świadczy, iż są to groby całopalne, podczas gdy rycerze polscy już w tym czasie (okres Bolesława Chrobrego) grzebani byli według rytuału chrześcijańskiego. Ten sam Łódzki Ośrodek Badań Prehistorycznych rozpoczął prace wykopaliskowe nad wielkim cmentarzyskiem z okresu neolitu (2000 lat przed naszą erą w miejscowości Sarnowo koło Włocławka. Zbadane groby odnoszą się do kultury amfor kulistych, względnie kultury pucharów. Prócz szkieletów znaleziono okazy ceramiki.

W Szczecinie otwarto wystawę dorobku słuchaczy Państwowego Ogniska Kultury Plastycznej. Bogate działy rysunku, malarstwa, rzeźby i grafiki zawierają szereg cenny prac uczniów prof. Ko-

waha się od 20 do 50 lat. Szkoła jest upaństwowiona. Prowadzi się tutaj naukę gry aktorskiej, historii, literatury, historii teatru, rytmiki tańca, kostiumologii, poza przedmiotami wchodzącymi w ścisły zakres pracy w teatrach lalek.

nonowicza, Niewisiewicza i innych. Analogiczna wystawa Ogniska Kultury Plastycznej otworzono w Gdańsku. Zgromadziła na prace robotników z portu, stoczni i kolci.

Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie nadała dyplom honorowy pianistce Halinie Czerny-Stefańskiej laureatce Konkursu Chopinowskiego, która ostatnio odniosła szereg wspaniałych sukcesów w europejskich stolicach.

Instytut Fryderyka Chopina otrzymał od profesora konserwatorium w Cincinnati dr Karola Liszniewskiego cenny dar: autentyczny list Chopina do Juliusza Fontany, pisany z Nohant w pierwszej połowie października 1839 r. na papierze listowym George Sand.

W Poroninie prowadzone są dalsze prace nad rozbudową Muzeum Lenina. Kończy się budowa budynku pomocniczego (w stylu góralskim), który pomieści górnictwa, biblioteczną i czytelnia, oraz salę kinową, w której dla wycieczek zwiedzających Muzeum wyświetlane będą filmy krótkometrażowe o życiu Lenina. Wokół Muzeum powstanie dwuhektarowy park, w którym ustawiony będzie monumentalny, granitowy pomnik Lenina.

Zagranica

WIELKA ENCYKLOPEDIA RADZIECKA

Państwowe Wydawnictwo Naukowe „Wielka Encyklopedia Radziecka“ przystąpiło do drugiego nakładu Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej (Bolszaja Sowietskaja Enciklopedia). Całość wydawnictwa obejmuje 50 tomów, które ukazywać się będą stopniowo w ciągu 5 lat (1950—1954) po 10 tomów rocznie.

Wielka Encyklopedia Radziecka zawierać będzie artykuły z zakresu filozofii, historii, ekonomii, fizyki, matematyki, biologii, medycyny, astronomii, archeologii, etnografii, geografii, literatury, architektury, teatru, muzyki, kinematografii, spraw wojskowych, techniki itp., jak również artykuły poświęcone wybitnym historycznym postaciom, oraz czołowym przedstawicielom współczesnej nauki i kultury.

Z AKADEMII NAUK ZSRR

Ostatnie posiedzenie Prezydium Akademii Nauk ZSRR przedyskutowało obszernie sprawę działalności, założonej przed rokiem filii Akademii w Irkucku. Analizując szczegółowo prace filii szczególnie w zakresie ekonomiczno-geograficznego atlasu Irkuckiego, zwrócono uwagę na niedostatecznie szybkie tempo prac filii. Postanowiono więc

KONCERTY NA WSI

Artyści w Stalinabadzie zorganizowali kulturalną pracę w kolchozach swej republiki. Filharmonia państwowa wydzieliła dwie brygady artystów, z których jedna wyjechała na sezon do wielkiej doliny Wachskiej, a druga do Gi-

W GOŚCINIE U PAMIERSKICH HODOWCÓW BYDŁA

Z Osz (w Kirgiskiej republice) donoszą, że w okolicy Gul-cyna przybyła brygada artystów z teatru Kirgiskiego imienia Toktoğula. Udała się ona w góry, na wysokogórskie pastwiska, gdzie została gorąco powitana i przyjęta przez Pamirskich hodowców.

CIEKAWA KOLEKCJA

Uniwersytet Londyński otrzymał niedawno wspaniałą kolekcję chińskiej porcelany. Zbiory zawierają porcelanę wyrabianą w Chinach za panowania dynastii Sung (960—1279), Yuan (1280—1368), Ming (1368—1644) i pierwszego stulecia dynastii Ch'ing (1644—1912).

W epoce tej porcelana „chińska“ była wyrabiana jedynie w Chinach, dopiero Böttger w Meissen w r. 1709 pierwszy zaczął z materiałów europejskich wyrabiać „chińską porcelanę“.

Wspomniana kolekcja bez przesady może być nazwana najpiękniejszą w świecie. Wartość jej w dużej mierze polega na znacznej ilości okazów figurujących w spisach i rocznikach porcelany. Około 70 sztuk porcelany było własnością chińskiego domu cesarskiego, przy końcu panowania dynastii Manchu przeszły one na własność jakiegoś banku chińskiego. Z cesarskiej porcelany 20 sztuk jest opisanych w specjalnych poematach ułożonych przez cesarza Ch'ien Lung (1735—96).

Film

ALBENIZ

Film produkcji argentyńskiej, scenariusz: P. Obligado, reżyseria L. Amadori, zdjęcia A. Merayo.

Albeniz, film produkcji argentyńskiej jest oparty na bardzo złym scenariuszu, nieciekawym i niefilmowym, i reprezentuje wszystkie niemal cechy filmu realizowanego według recepty.

Szablon kompozycyjny z kłamrą „końca wracającego do początku“ i akcją pojętą jako jakiś wielki watek retrospektywny (a może to ma pośrednio wyrażać że wielki pianista długo chorował) z pływaczką szablonoową charakterystyką nie tyle życia, ile drogi do sławy Albeniza, z nieinteligentnie plotkarskim stosunkiem do pokazywanych zdarzeń — sprawia, że od początku filmu wykrywa się jego powiązania ze znanym stylem średnich biograficznych filmów amerykańskich.

Muzyka której na szczęście jest dużo, mimo zniekształcenia przy nienajlepszej akustyce w Palladium, jest w tym filmie jedynym elementem pociągającym. W pierwszej części jednak jest raczej jeszcze na drugim planie natomiast w drugiej gdzie zamiast nudnego materiału anegdotycznego filmuje się przeważnie koncerty, film staje się mniej drażniący i ten najprymitywniejszy środek wmontowania dużych partii muzycznych okazuje się zbawienny.

Trudno sobie wyjaśnić dlaczego cały film został zrealizowany w studio i dlaczego realizatorzy tak pieczołowicie zastępują plenery bardzo brzydkimi makietami. Partie okretowe są o tyle w swoim rodzaju ciekawostką, że poza słowami, marynarskimi ubraniami aktorów i umową, że pokazane wnętrza są kajutami okrętowymi nie pokazano ani przez moment morza i okrętu. Miasta poznajemy z dialogu. Można by myśleć, gdyby nie pewność, że elementem de-

Przedstawienia, dane w górach przez brygadę, cieszyły się wielkim powodzeniem, a już szczególnie sztuki Kirgiskich dramaturgów, jak „Zielony las“ Szukurbekowa i „Kurmanbek“ Dżantoszewa.

Z okolic Gulczyna, artyści udają się do Adaj-Kul, nową drogą, która została trzy miesiące temu zbudowana i świeżo otwara.

Znaczna część kolekcji składa się z okazów pochodzących z okresu dynastii Sung i Ming.

Jednym z najpiękniejszych przedmiotów jest waza z porcelany cieniutkiej jak skorpupka od jajka, delikatnie zdobiona rysunkiem winnych gron i motyli, znak fabryczny Cheng Hua (1465—87).

Z okresu Ch'ing i Manchu okazy są wyjątkowo piękne zarówno wyołowo jak i jednobarwne, zdobione w stylu typowo chińskim rzadko rozrzuconymi motywami kwiatów lub liści z jednym lub dwoma motylami.

Porcelana wyrabiana w tej epoce i przeznaczona na eksport do Europy była znacznie bogaciej zdobiona, bo zachodni kupiec musiał dużo dostać wzamian wysokich sum, placonych za chińską porcelanę. Tego typu porcelany prawie że zupełnie nie ma wśród omawianego zbioru.

Zbiory te posiadają jeszcze i inną dodatkową wartość, mianowicie będą bardzo przydatne do ocenienia przez porównanie wielu znajdujących się w świecie egzemplarzy chińskiej porcelany.

cydującym o takim rozwiązaniu jest przyjęty szablon, że ta koncepcja unikania realiów geograficznych ma wyrażać, że cały ten watek to wspomnienie faktów, a szczególnie otoczenia i miejsca zaciera ją i stają się niepotrzebne.

Scenariusz poza mistrzowska banalnością i powierzchownością jest w dodatku nieumiejętnie zbudowany technicznie, określając to precyzyjnie czy nie-filmowy. Cały ciężar akcji opiera się na dialogu, na narracji słownej. Można by zamknąć w czasie seansu czy i film nie straciłby zupełnie komunikatywności.

W przeciwieństwie do filmów amerykańskich (nawet sensacyjne epizody (zabójstwa czy spotkania z siostrą) zostają zastąpione przez omówienie).

Aktorsko najlepiej chyba został rozwiązany drugi etap życia Albeniza.

Aby zrozumieć, że muzyka i kilka anegdot nie wystarczy nie tylko do tego aby stworzyć film biograficzny coś wyjaśniający i interpretujący, ale w ogóle skleić fabułę mniej więcej przekonującą, nie trzeba aż oglądać filmu argentyńskiego.

Nienniej wydaje się znamienne, że realizatorzy filmu nie tworząc biografii, nawet nie pokusili się o jakieś pogłębienie psychologiczne, że tak idealnie i całkowicie zatrzymali się na zewnętrznym szablonie kompozycyjnym, że w banalny kształt nie wbudowali absolutnie żadnej treści i koncepcji.

Charakter zwrotu retorycznego ma stwierdzenie, że wenytlacja w kinie Palladium (a można to uogólnić do wszystkich kin warszawskich stwarza „realia atmosferyczne“ rzymskiej łaźni. Czy (to pytanie jest równie zdaje się retoryczne) nie można rozłożyć seansów tak aby zmieściły się jakieś przerwy na przewietrzenie sali?

Co piszą inni

O krytyce i artystycznej odpowiedzialności artysty

W numerze „Tygodnika Powszechnego” z dn. 2 lipca br. wśród wielu interesujących pozycji na szczególną uwagę zasługują trzy artykuły, które wzajemnie się uzupełniają, poruszają rozległy problem krytyki artystycznej i odpowiedzialności artysty.

Są to: „Artysta jest odpowiedzialny” Jacka Woźniakowskiego, tłumaczenie urywka ze zbioru szkiców Jacques Maritain'a p. t. „Raison et Raisons”, oraz krótki artykuł Wacława Roli — „Marginalia o krytyce literackiej”.

Zacznijmy od Maritain'a — trudno bowiem mówić o planetach czy księżycu, nie wspomniawszy uprzednio o źródle ich światła — słońcu.

Na wstępie interesującego nas fragmentu Maritain'a przeciwstawia powierzchowny sposób patrzenia na sztukę jako na źródło zadowolenia i radości, głębszemu i pełnemu traktowaniu sztuki jako twórczego wysiłku, „który — cytując słowa Maritain'a — powierza nam najbardziej intymne ja artysty i jednocześnie tajemne powiązania, dostrzeżone w rzeczach przez artystę dzięki właściwej mu wizji czy też intuicji, niewyrażalne w pojęciach i słowach, wyrażalne tylko w dziele”. Wtedy dzieło ukaże się nam, jakby nalaowane podwójną tajemnicą osobowości artysty i rzeczywistości, która poruszyła jego serce”.

Wychodząc z takich założeń, za pierwszy warunek właściwego sądu o dziele sztuki uważa Maritain podanie się sugestii tego dzieła, pokora i posłuszeństwo wobec tego czego nas może ono nauczyć i o co wzbogacić. „Bo sądzić — pisze — dzieło sztuki, to przede wszystkim pojmować cudze pojmowanie”.

Tego rodzaju stanowisko mógłby ktoś uznać za równoznaczne z daleko idącą pobłażliwością i dowolnością w sądach w dziedzinie sztuki. Wielki filozof katolicki kategorycznie zastrzega się przed podobną interpretacją jego poglądów. Sądzi on, że wyłożona przez niego postawa wobec dzieła sztuki, implikuje sąd bardziej wymagający, bo głębszy i bardziej przenikliwy — sąd naprawdę artystyczny „świadomy ludzkiej i duchowej godności tego osobnego świata, jakim jest świat twórczości artystycznej”.

Omawiany fragment ujmuje trafnie i precyzyjnie pewien bardzo ważny aspekt krytycznego stosunku do dzieła sztuki, aspekt bardzo często zapominany dziś kiedy krytyka tak często rości sobie prawo do pochopnego ferowania wyroków. Nie można jednak zapominać, że jest to tylko jeden aspekt zagadnienia i że podniesiony przez Maritain'a problem, bardzo istotny przy kształtowaniu się indywidualnego stosunku jednostki do dzieła sztuki, w odniesieniu do krytyki jako dyscypliny, musi w pewnej mierze zejść na drugi plan.

Artykuł Woźniakowskiego o którym chcemy pomówić, jest obszernym omówieniem zagadnienia odpowiedzialności artysty. By nie przedłużać zbytnio tego sprawozdania, pominiemy wstęp artykułu w którym autor ustala pojęcia zasadnicze, i od razu przejdziemy do sedna sprawy odpowiedzialności. Podobnie jak Maritain rozdziela ładunek dzieła sztuki na „tajemnicę osobowości artysty

i rzeczywistości, która poruszyła jego serce, Woźniakowski zwraca uwagę na dwa aspekty oceny wartości dzieła: pierwszy to „ujęcie treści dzieła w układzie spójnym wszystkich jego elementów, drugi to „odniesienie relacji i sądów, wypowiedzianych w dziele, do tych bezpośrednich elementów rzeczywistości, których owe relacje i sądy dotyczą”. Oba te aspekty zresztą nie dają się w praktyce rozdzielić, bo błędy czy fałszywe w interpretacji rzeczywistości muszą bardziej czy mniej jaskrawo zaciążyć na wewnętrznej czysto artystycznej wartości dzieła. Szczególnie w dziedzinie literatury, a przede wszystkim w powieści to uzależnione jest silne, a nawet dominujące. Twórca, zdaniem Woźniakowskiego, musi czuć pełnię odpowiedzialności, nie tylko za „dobrą robotę artystyczną”, ale również i to przede wszystkim za wypowiedziane lub sugerowane myśli, wreszcie nawet za pewne nie zamierzone efekty, które dzieło sztuki może wyrzucić. Tej zasady nie naruszają w niczym praktyczne trudności w jej stosowaniu. W istocie wyrokowanie o wartości moralnej dzieła sztuki zbyt często opiera się na subiektywnych kryteriach i nie zawsze trafnie ocenia je rezonans u wszystkich odbiorców, te trudności

CZY wcielanie się jednostki w formy socjalne coraz bardziej kolektywizujące się przedstawia możliwość rozwoju i rozkwitu indywidualnego, czy też przeciwnie niebezpieczeństwo unicestwienia go.

Głos zabierali: prof. socjologii na uniwersytecie katolickim w Tuluzie — Georges Hahn i znany pisarz i krytyk francuski — Jacques Madule.

Wychodzą oni z założenia, że istnieje niewątpliwy nacisk psychologiczny wywierany przez socjalne formy życia na jednostkę. Chodzi tylko o to, czy prowadzi to do przyniesienia, czy w skutkach swych nie doprowadza do zaniku indywidualności personalnej. Prof. Hahn stwierdza kategorycznie: „Żadna instytucja nie jest depersonalizująca poprzez samą swą istotę i my chrześcijanie odrzucamy fatalność w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Fatalność jest własnym dziełem człowieka a instytucje są tym, co ludzie chcą z nich zrobić”.

Dlatego też obrona jednostki przed depersonalizacją, środki zaradcze nie prowadzą do redukcji czy eliminacji struktur kolektywnych, ale — cytujemy znowu słowa prof. Hahna: „w wyteżeniu naszych konkretnych wysiłków ku organizacji socjalnej spoczywają nadzieje życia osobowego dla coraz większej liczby ludzi, a więc także głębszego przygotowania ich na apel Łaski”.

PEENIA CZŁOWIECZENSTWA

„Chrystus przyszedł po to — mówi Jean Guilton, prof. Uniwersytetu w Dijon — aby przez łaskę dać człowiekowi pełnię człowieczeństwa”.

Droga do realizacji owej pełni to nie ucieczka od rzeczywistości. Chrześcijanin powinien wziąć na siebie odpowiedzialność za całą treść człowieka, tym bardziej, że to on właśnie posiada świadomość łączności człowieka z Bogiem i tego, że każdy ludzki los ma nieskończoną wartość. Problem, który się tu wyłania polega na tym, czy ową istotną treść człowieczeństwa da się

nie dowodzą wcale by tej najwyższej oceny sztuki zaniechać.

Słabszą, naszym zdaniem, częścią artykułu Woźniakowskiego, są jego rozważania na temat obowiązków artysty wynikających z historycznie określonych potrzeb społeczeństwa. Mówiąc o odpowiedzialności artysty w momencie historycznym tak dla niego trudnym i wymagającym od niego tyle wysiłku i uczciwości, nie można zadowolić się twierdzeniem, „że dobra sztuka jest zawsze niemal „zna”. Jeżeli tak było to na pewno nie dzięki wierze w automatyzm tej formułki, ale dzięki wysiłkowi z jednej strony twórców, z drugiej zaś społeczeństwa i mecenatu. Jakkolwiek byśmy nie oceniali wartości dotychczasowego wysiłku, i błędów popełnionych w tej dziedzinie, zagadnienie społecznych obowiązków stanowi jedną z ważniejszych składowych części odpowiedzialności artysty.

Trzecią pozycją o której w ramach tego przeglądu prasy chcemy wspomnieć, są „Marginalia o krytyce literackiej”. Jak sam tytuł wskazuje jest to praca o charakterze przyczynkarskim. Zwraca uwagę na dwa „grzechy główne” krytyki, w szczególności krytyki katolickiej.

Pierwszym błędem, to pobłażliwość wobec utworów o wielkim ciężarze gatunkowym treści duchowych, ale pozbawionych wartości artystycznych. Błąd ten wynika z niezrozumienia różnicy między artystycznym a publicystycznym wyrażaniem treści i popełniany jest zarówno przez twórców jak krytyków.

Drugą sprawą podniesioną przez Role, a wynikającą z pierwszego zarzutu, jest szeroko rozpowszechnione beznamiętne i analityczne stanowisko krytyka, które może zagrażać postradaniem przez niego zdolności wzruszenia się i przeżywania dzieła sztuki. Autor artykułu boi się by krytyk wyposażony w naukowe metody badań, nie zapomniał o najważniejszym dla właściwego pojęcia sztuki — „zmysłu piękna”.

Obie poruszone w „Marginaliach” sprawy, stanowią niewątpliwie bardzo częste bolączki i grzechy krytyki, i dobrze się stało, że zostały poruszone. Pewne przejawskawienie stanowiska, do którego autor sam się przynajmniej, nie zmniejsza w niczym zasadniczej słuszności i jest trudne do uniknięcia w ramach krótkiego artykułiku.

A. K.

W SPRAWIE WYDANIA DZIEŁ SŁOWACKIEGO

W nr-ze 25 (239) „Dziś i Jutro” z 25 czerwca 1950 r. zamieszczono „Komunikat prasowy o Słowackim”, w którym m. in. napisano o „Zbiorowym Wydaniu Dzieł Juliusza Słowackiego pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego i J. Kleinera, które ukażą się w najbliższym czasie nakładem Ossolineum”. Ponieważ w informacji tej znalazły się pewne nieścisłości, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich prosi o umieszczenie następującego wyjaśnienia.

Ossolineum przygotowuje dwa zbiorowe wydania dzieł Słowackiego. Pierwsze, dwunastotomowe pt. „Dzieła”, obliczone na szersze koła czytelników, obejmujące całą twórczość Słowackiego wraz z ważniejszymi odmianami tekstu — opracowywane jest przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza pod ogólną redakcją prof. J. Krzyżanowskiego.

Drugie, szesnastotomowe, pod redakcją prof. J. Kleinera — nawiązuje do wydania rozpoczętego jeszcze w okresie międzywojennym pt. „Dzieła wszystkie”. Edycja nie ogranicza się tylko do tomów, które się dotąd nie ukazały, ale podejmuje także reedycję tomów, wydanych przed wojną. Będzie to pełne naukowe wydanie dzieł Słowackiego ze wszystkimi odmianami tekstu i obszernym komentarzem filologiczno-naukowym.

Dyrekcja Wydawnictwa Zakładu Narodowego Ossolineum.

Humanizm a łaska

dokończenie ze str. 9

i można ujmować dialektycznie.

Prof. Guilton proponuje następujące rozwiązanie: istnieje niewątpliwie to, co stanowi podkład wspólny, wszędzie identyczny i nigdzie niezmienny, tym jest natura człowieka, jednakże nie można traktować jej jako elementu statycznego i dającego się bez reszty zdefiniować. Natura ujawnia się w różnorodności form, które nie zaprzeczają jej stałości, ale dowodzą tego jedynie, że nie została ona w całości odkryta i poznana przez umysł ludzki. Prawo rozwoju również nie stoi w sprzeczności z ową stałością, odwrotnie jest właśnie jej przejawem. Taka koncepcja natury wyjaśnia problem wejścia Łaski w naturę. Pomiedzy naturą a Łaską istnieje harmonia. Łaska nie niszczy natury, robi ją bardziej całkowitą. „Łaska nie jest ponad naturą ale raczej stanowi wypełnienie natury. Natura jest tym, co może być sublimowane. Łaska tym, co ją sublimuje. W tej perspektywie można też zrozumieć znaczenie śmierci, która nie jest zniszczeniem natury, ale jej przemianą.

„Theosfera, miejsce, gdzie jest Bóg i wiara — konkluduje prof. Guilton — jest nieodzowna dla odkrycia i urzeczywistnienia istoty naszej natury. Potrzebujemy pomocy przychodzącej z góry, aby uratować to, co pochodzi z dołu.

Aby człowiek mógł się w pełni zmanifestować, potrzebna mu jest pomoc Boga.

Profesor filozofii Uniwersytetu w Aix-Paliard, uczeń i komentator Maurice Blondela — podkreślił konieczność uświadomienia potrzeby syntezy i jedności wszelkich dociekań umysłu ludzkiego. Prawda jest jedna i absolutna. Nauka widzi ją jako świat zmiennych i ruchomych stosunków, ale nauka poznaje jedynie prawdy, które zbliżają do poznania rzeczywistości, nie wyczerpując

jej całkowicie. „Umysł budzi się przez naukę — mówi prof. Paliard — ale skupia się w filozofii”. I właśnie poprzez filozofię dochodzimy do zrozumienia, że „jeśli człowiek nie może zrealizować własnej pełni wyłącznie siłami swojej natury, i jeśli pragnienie Boga nie daje jeszcze Boga, zmuszony jest pozostać w oczekiwaniu, być otwartym na przyjęcie tego wszystkiego, co nie może wyjść tylko od niego samego. Ta świadomość własnej niepełności jest zarazem bolesna i szczęśliwa, gdyż niszczy, zwodną równowagę i ciasnotę samowystarczalności, pozostawia miejsce wolne, przygotowuje na przyjęcie daru boskiego”.

„NIE MA ODKUPIENIA BEZ PRAWDY, KTÓRA UWALNIA”

W ostatnim dniu dyskusji zabrał głos arcybiskup Paryża. Stwierdził on, że w toku dyskusji krzyżowały się rozmaite stanowiska. Pomiedzy arbitralnością a anarchią wybrać należy wierność naturze i rzeczywistości. Pomiedzy skrajnościami mistycyzmu i jansenizmu słuszną drogą znajduje się w humanizmie Pałowym wcielonym w rzeczywistość. Nie chodzi o wypracowanie kompromisu ale o syntezę. A zatem:

W skali metafizycznej — natura i Łaska uzupełniają się i są nierozdzielne jeśli chodzi o zbawienie.

W skali doczesnej egzystencji — „trzeba — mówi arcybiskup — trzymać równocześnie oboje łańcucha: nie wyrzec się człowieka przez miłość do Boga i nie wyrzec się Boga przez miłość do człowieka”.

Sama moralność i cnota są tu niewystarczające, trzeba „śledzić prawdę”. Dlatego też uważa on, że intelektualiści i teologowie katolicy nie mogą iść w ogonie historii ale w jej pierwszej linii.

Następnie zabierali głos inni

przedstawiciele myśli katolickiej, wśród nich Paweł Claudel, który zdefiniował humanizm jako „wszystko, co jest właściwe człowiekowi”. Traktując jednak o humanizmie, Claudel nie mówi bezpośrednio o Bogu, ale radzi człowiekowi zwrócić się do Mądrości, a raczej przygotować się na przyjęcie Mądrości, która schodzi ku nam. „Mądrość — twierdzi on — nie jest niczym innym, jak ludzkim aspektem boskiej rzeczywistości, której imię Łaska”.

Interesująca i znamienna była wypowiedź przedstawiciela katolicyzmu niemieckiego, który mówił o niepokojach nurtujących wśród katolików niemieckich, a płynących z przechowywanych w ich mentalności tradycji ducha Kulturkampf, nacjonalizmu i doktryn Świętego Cesarstwa. Mówca wytycza dla katolików niemieckich dwa główne zadania na przyszłość:

1. Przejść się duchem eschatologicznym.

2. Współpracować we wcielaniu katolicyzmu w rzeczywistość historii.

Istotne konkluzje z całości obrad znajdujemy w referacie Carlosa Santamaria — kierownika Centrum św. Sebastiana. Jeżeli chodzi o zagadnienie centralne: Czy między humanizmem a chrystianizmem istnieje sprzeczność — stwierdza on:

1. Nic w człowieku i w tym, co go dotyczy z wyjątkiem grzechu, nie jest obce i nie leży poza obrębem chrystianizmu. Humanizm nie jest więc sprzeczny z chrystianizmem.

2. Pewne partie chrystianizmu, zwłaszcza zagadnienie doświadczenia mistycznego, zdają się być sprzeczne z humanizmem. Jest to jednakże tylko pozorne, bowiem dla chrześcijanina doświadczenie mistyczne nigdy nie będzie unicestwieniem człowieka i abdykacją z człowieczeństwa, ale właśnie dopełnieniem jego pełnej realizacji. Chrystianizm nie jest więc sprzeczny z humanizmem.

J. R.

Redagują: Bpłesław Piasecki, Dominik Horodyński,

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO — Nr I-727.

sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 15.

ul. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych Kwartalna 180 „

B-116320